Nr. 51 i 52. Lwów, Piątek dnia 24. Grudnia 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

LI.

Rok 1875.

Stoimy u schyłku roku 1875, który kończy trzecią ćwiartkę bieżącego stulecia. Warto okiem wstecz rzucić i zapytać, co się w tym roku zdziałało? Czyśmy postąpili naprzód, czy wstecz się może cofnęli? Czy w ciernistej a jednak nie bez chwały drodze, jaka pogrobowym naszym przypadła pokoleniom, rok dobiegający końca zaznaczył się dodatnim jakim czynem, tak by choć na krok zbliżył nas do wielkiego celu, który jak gwiazda przewodnia od lat stu nam przyświeca?

Oczywiście, że nie może tu być mowa o sprawach czysto politycznej natury. Nie jedno na tem polu niepowodzenie — żeby nie powiedzieć klęskę — zapisać by trzeba, nie jeden bolesny zawód ze strony, z której racjonalnie rzecz biorąc, nie mieliśmy powodu tego się obawiać, niejeden nowy akt gwałtu przypieczętowany potem ohydnem kłamstwem ze strony tych, którzy kłamstwem tylko wojują i gwałtem.

Kto jednak rozumie, jak dalece losy narodu zawisły od własnej jego pracy nad organizacją i spotęgowaniem sił umysłowych i materjalnych, musi przyznać, że rok 1875 nie jest bez pewnych zasług, nie jest bez postępu. Przedewszystkiem zaś zaznaczyć należy silniej rozwinięty ruch umysłowy. Jeszcze w ciągu roku zeszłego niemieliśmy w Galicji ani jednego pisma literackiego, obecnie mamy ich trzy. Nie nam przystoi sąd o tem, jak one spełniają swoje zadanie — faktem jest, iż zjednały sobie szerokie grono czytelników, ożywiły ruch literacki, obudziły znowu zamarłe nieco zajęcie publiczności kwestjami literackiemi.

Wzmógł się też i ruch książkowy. Wbrew temu, co pisano, iż dziennik szkodzi książce, liczba dzieł wydawanych u nas rośnie znacznie z roku na rok, a wydawnictwa zbiorowe dzieł najznakomitszych pisarzy naszych, których w roku ubiegłym kilka przybyło, a kilka na rok przyszły zapowiedziano, oddają znaczną usługę piśmiennictwu naszemu, i świadczą zarazem, że publiczność przezwyciężyła już dawny swój wstręt do książek.

Jeżeli zaś mowa o szczególnych stosunkach Galicji, nie można pominąć radośnego dla nas faktu, że kraj nasz wywierać poczyna pewną siłę attrakcyjną, ściągając do siebie liczne grono pracowników polskich na polu ściśle naukowem, którzy skutkiem stosunków politycznych w innych dzielnicach Polski nie znaleźli dla siebie właściwego pola działania, a tutaj na katedrach profesorskich i w pismach literackich i naukowych wielce się mogą przyczynić do obudzenia naukowego ruchu. Bo nie zapominać nam o tem, że samo rozwijanie i kształcenie tak zwanej „nadobnej" literatury, to drobna dopiero cząstka pracy umysłowej narodu, i że w wieku, w którym umiejętność tak potężnie zapanowała, naród nie pracujący na polu ściśle naukowem nie zdoła zająć równorzędnego stanowiska w gronie ludów cywilizowanych.

Nie samo jednak kształcenie wiedzy, ale i jej rozprzestrzenianie w jak najszerszych kołach, tworzy bardzo ważną część pracy umysłowej narodu. Monopol wiedzy równie jest zgubnym i szkodliwym jak wszelkie inne monopole, złamanie jego jest zadaniem szkół ludowych, i ludowych wydawnictw. Co do szkół ludowych, są one jeszcze zawsze w stadium reorganizacji, a rok 1875 nie pozostał bez postępu na tem polu. Co do wydawnictw ludowych nie uczyniono nic prawie. Spodziewać się, iż rok przyszły będzie pod tym względem szczęśliwszym, a wiemy autentycznie o podjętych w tym kierunku usiłowaniach, które w najbliższych już tygodniach zostaną urzeczywistnione.

Dzielnym środkiem popularyzowania wiedzy są odczyty publiczne. I na tem polu widzimy ruch znacznie ożywiony. Odczyty Towarzystwa pedagogicznego we Lwowie, i w miastach prowincjonalnych, dalej kurs naukowy dla kobiet w krakowskiem muzeum przemysłowem, i szereg odczytów dla rzemieślników w muzeum lwowskiem, odczyty dla młodzieży rękodzielniczej w lwowskiej „Gwieździe" i bratnich stowarzyszeniach w miastach prowincjonalnych, nie mogły i nie mogą pozostać bez pomyślnego wpływu na umysłowe życie ludności.

Widzimy więc, iż na polu literatury, nauk i oświaty, ruch u nas się wzmaga, iż liczni pracownicy krzątają się około podniesienia umysłowego poziomu naszego ogółu, a tem samem około wzmożenia w narodzie siły intelektualnej, która w międzynarodowej walce o byt tak potężne ma znaczenie. Kończąc ten nasz krótki przegląd, wyrażamy przy zbliżającym się Nowym roku życzenie, ażeby ten ruch umysłowy zpotężniał jeszcze, ażebyśmy w żmudnej tej a tak pożytecznej pracy nie ustawali ale raczej coraz większą rozwijali energję, a przedewszystkiem, byśmy nie zaniedbywali oświaty ludu, tego najważniejszego środka ratunku od wszelkich naszych ekonomicznych i narodowych nieszczęść. Nieśmy światło wiedzy do chat włościan naszych, a zajaśnieje nam kiedyś jutrzenka lepszej przyszłości. Tem życzeniem żegnamy czytelników naszych w roku bieżącym. Do widzenia! i do wspólnej pracy w poczynającej się ostatniej już ćwiartce dziewiętnastego stulecia, które jak było świadkiem naszego męczeństwa i walk naszych, oby stało się u schyłku swego świadkiem naszego odrodzenia!

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ DRUGA.

Partyzanci.

II.

W chwili kiedy na nowo nawiązujemy przerwany wywiezieniem rotmistrza wątek naszej powieści, w pałacu Łaszczynieckim odbywały się dwie, wprost przeciwnej natury konferencje.

Marszałek w „sali przodków“ przyjmował kapitana sprawnika, znanego nam już Pawła Onufryjewicza von Flidersa, pan Artur w swoim gabinecie zamknięty był i rozmawiał po cichu z jakimś nieznanym ani nam ani jemu młodzieńcem, który przybywszy nie wymienił swego nazwiska, ale za okazaniem jakiegoś tajemniczego pisma, na niewielkiej skreślonego karteczce, przyjęty został z największemi honorami przez byłego kamerjunkra.

Zajrzyjmy najprzód do marszałka. „Przed siwą głową wstań,“ — powiedział Salomon. Powieściopisarz winien dać pierwszeństwo rodzicowi przed synem, zwłaszcza gdy ten rodzic jest marszałkiem powiatowym, dziedzicem obszernych włości, liczy się do arystokratów czystej krwi, miewa niekiedy wielkie idee i zasiada w sali przodków, którzy wszyscy jak jeden, choć zamknęli oczy na wieki, jeszcze je wybałuszają z portretów na czyny swojego potomka.

Moskale cywilni w owym czasie mieli cokolwiek duszę na ramieniu, co się i wojskowym przytrafiło czasami. Objawiało się to w ich postępowaniu, które zawsze jakąś nienaturalnością trąciło. Kiedy mógł się srożyć i wymyślać, moskalowej epoce srożył się i wymyślał bardziej niż zwykle. Obok zwykłego prostactwa i korzystania z przewagi, było w tem widać zawsze trochę nadrabiania miną. Gdzie zaś trzeba było być uprzejmym i łagodnym, tam taki czynownik jak Fliders rozpływał się poprostu w słodycz, aż się miło człowiekowi robiło. Gdy się gniewał pamiętał o tem, że powinien gniewem swoim nastraszyć, a kiedy chciał ująć i ugłaskać to aż się płaszczył.

Marszałek nie miał najmniejszej czarnej kreski u rządu, należało dlań być uprzejmym, Paweł Onufryjewicz o tem pamiętał.

Powszechne podówczas pomiędzy czynownikami zatrwożenie wyryło się na nim w niektórych zewnętrznych oznakach. Długi i chudy zawsze, teraz zdawał się jeszcze dłuższym i jeszcze chudszym, oczy jeszcze bardziej unikające obcych spojrzeń niż zazwyczaj, jeszcze niespokojniej biegały, wyraźnie jakby niemi śledził czy zkąd jego osobie niebezpieczeństwo nie zagraża, a niezwykłych rozmiarów uszy, gdyby kto je śledził uważnie, to byłby spostrzegł, że odbywały ruchy końskim organom słuchu właściwe: strzygły niby i zwracały się to w tę to w ową stronę, ażeby łatwiej schwycić każdy szelest, któryby mógł ostrzegać o zbliżaniu się jakiego buntowszczyka uzbrojonego rewolwerem lub wieszającego żandarma.

Na twarzy kapitana - sprawnika gościł zastygły uśmiech słodszy niż półfunta karmelków z najpierwszej kamienieckiej cukierni.

Marszałek, jako dygnitarz powiatowy, pewny swej lojalności i zaufania jakie w nim miał kapitan-sprawnik, traktował go poufale i bawił się z nim w patrjotę.

Była to dyplomacja z jego strony. Gdyby pomiędzy jego służbą był ktoś należący do ruchu i gdyby słyszał jego rozmowę z czynownikiem, musiałby mu oddać świadectwo, że o łaskę Moskali nie dba, i że im prawdę w oczy rznie ani pyta.

— Tak, tak, sprawniku, — mówił marszałek, — gnębiliście nas, trapili, obdzieraliście nas ze skóry, teraz przyszła i na was kreska. Nosił wilk owce, poniosą wilka. Jeżeli sobie sami nie damy rady to nam przyjdą w pomoc Francuzi.

— Daleka droga, panie marszałku.

— A koleje żelazne nic nie znaczą?...

— Hm! żelazne koleje — bezmyślnie powtórzył Paweł Onufryjewicz, — więc pan marszałek tak z powstaniem trzyma?

— A zkimżebym ja trzymał, sprawniku, hę?.. ja ci powiem, że i sam jesteś trochę *miateżnik*...

— *Boże pamiluj!* ja?...

— Tak, tak, sprawniku, nie zapieraj się, ty!... Za to com ci nagadał jużbyś mnie powinien zabrać i zawieść do Kamieńca pod sąd wojenny...

— *Ja znaju szto eto wsio szutki!*

— *Szutki, szutki!*... nie radzę ja w to wierzyć sprawniku. — śmiał się marszałek — za parę tygodni będzie i w naszej okolicy ciepło.

Von Fliders zastrzygł uszami.

— Za parę tygodni, — powtórzył czy marszałek wie to z pewnością?

— Lis z ciebie, kochany sprawniku, ale mnie nie podejdziesz. Coż to? ja ci będę robił donosy?... Za kogoż to mnie masz?... Jabym prędzej zrobił donos do tych tam w Galicji, którzy się tu wybierają, żeby się wybierali póki pora, póki wojska waszego nie ma. Bo co tu jest? Dwa bataljony piechoty i cztery sotnie kozaków... tak blisko granicy... to ma być siła! Gdybym ja był waszym dowódcą, tobym tutaj postawił najmniej cztery pułki, z pięćdziesiąt armat, bo to wasza achillesowa pięta, daję ci słowo marszałkowskie, sprawniku, że to wasza achillesowa pięta. Granica źle strzeżona, między ludnością materjału palnego pełno, dość zapałkę przyłożyć, a pożar będzie... daję ci na to moje słowo marszałkowskie sprawniku! I nie gadałbym tego do ciebie, gdybym nie wiedział, że moja niedyskrecja na nic się wam nie przyda... kiedyście wy dotąd tego punktu jak się należy nie obsadzili, to znać że ani ludzi ani armat nie macie, a choćbyście mieli to już jutro będzie zapóźno... Te dwa bataljony i cztery sotnie czapkami zarzucimy, sprawniku, a z wami będzie bieda... aż do Nowogrodu i Wołogdy pędzić będziemy!...

— *Szutki! szutki!* panie marszałku.

— Marszałkowskie słowo nie szutki.. Wiesz co Fliders, mnie ciebie żal, bo ty dobry człowiek choć Moskal. Więc dam ci radę... zbierz manatki i miej je w pogotowiu, a jakby się na co zanosiło, zmykaj do matuszki Moskwy. Żebyś miał na czem uciekać ja ci daruję konia z mojej stajni, którego chcesz, możesz sobie wybrać choćby dziś zaraz...

— Pan marszałek daje mnie konia?

— Daję! jakem marszałek!...

— Nu, tak ja zaraz siadam na niego i jadę do Kamieńca i proszę o audjencję u *jewo prewoschoditelstwa* i powiadam mu żeby telegrafował do *naczalstwa* żeby *czetyre polka i piatdiesiat puszek* przysłali do Achillesowej pięty.

— Widzisz sprawniku, — roześmiał się marszałek, — jak to ja Moskala znam na wylot... Rozmawią niby w zaufaniu, bierze *wziatkę* i robi *donos!*... Ale na nic się to nie zdało... jedź sobie i donoś... *Naczalstwo puszek* z rękawa nie wytrzęsie, to darmo!...

— *Eto uwidim!* panie marszałku.

— No, to załóż się ze mną o sto rubli za każdy bataljon który tu przyjdzie.

— *Charaszo!* konia biorę *siejczas*, a za każdy bataljon po sto całkowych *pożże*... (później).

— Niech cię czart pożre przeklęty Moskalu, jeżeli z tego chociaż karbowańca zobaczysz! — zawołał niby z gniewem niby dobrodusznie marszałek, podczas gdy Paweł Onufryjewicz kładł rękawiczki i zabierał się do wyjścia, — choćby was zresztą tutaj nie cztery ale czterdzieści pułków przyszło, to was wytępimy do nogi, jeden nawet na nasienie nie pozostanie, chyba ty Fliders, jeżeli na czas uciekniesz na mojej szkapie... Możesz nawet powiedzieć jenerał-gubernatorowi że to ja marszałek Szóstacki dałem na to marszałkowskie słowo... może mnie za to kazać wywieźć na Sybir jak mego kuzyna rotmistrza...

Paweł Onufryjewicz znacząco mrugnął oczyma.

— A jeśli przedstawi do orderu?

Marszałek dotąd wesoły i jowjalny nawet spoważniał nagle.

— Słuchaj, Fliders, — zawołał — tylko bez głupstw! Order! order!... czy ty rozumiesz co to teraz order?

— *Nie bezpakojtieś! ja szutil*, — odpowiedział czynownik, a pożegnawszy ukłonem marszałka pobiegł do stajni wybierać wierzchowca.

Po jego odejściu marszałka nie opuszczał niepokój.

— Order! order! — powtarzał chodząc po sali przodków, których ani jedno wybałuszone oko na widok całej tej sceny nie mrugnęło z oburzenia, — order! order! Toby mi piękny zrobił podarunek!... W tych czasach order! Przeklęty Moskal, popsuł mi humor do samego wieczora!... Wolałbym teraz, żeby zapomniano, że mam ordery.

Po kilku minutach zaledwie zdołał marszałek opanować nareszcie swoje wzruszenie. Zapomniał o orderze, inne weselsze myśli nasuwać mu się zaczęły.

— Juściż tego com zrobił, żaden rozsądny patrjota za złe wziąćby mi nie mógł. Zrobiłem nawet przysługę powstaniu, mimowolną, ale zrobiłem. Gdy tutaj przyjdą cztery pułki, to ich nie będzie tam gdzie się biją i łatwiej będzie walczyć, a tutaj nie będzie powstania i ja będę spokojny. Myślałem o własnym interesie, a zrobiłem zarazem i dla sprawy narodowej interes. Znać zaraz żem dyplomata... Żeby tylko poszli za moją radą!

Tak marszałek uspokoił swoje sumienie i gdyby go w tej chwili zagadnięto o jego uczucia narodowe, mógłby był przysiądz, że jest prawdziwym patrjotą, ale patrjotą z głębszym dyplomatycznym zmysłem.

A syn jego w innej części pałacu składał w tej chwili inne niemniej wymowne swego patrjotyzmu dowody.

Tajemniczym gościem, którego przyj-

mował, był poborca podatku narodowego, jeden z tych kwestarzy sprawy ogólnej, którzy przyjęli na siebie część zadania, trudniejszą pewno i drażliwszą dla niejednego od narażania się na moskiewską kulę. Był to człowiek młody, pełen zapału i wiary w powodzenie słusznej sprawy, wiary połączonej z przekonaniem, że jemu osobiście nie doczekać pomyślnego jej końca.

Jakich młodzieńców, przekonanych naprzód, że wiążąc się z ruchem zaręczali się ze śmiercią, było dosyć w owej epoce i nie znaliśmy żadnego z nich, któregoby ślub z tą posępną oblubienicą ominął. Rzecz dziwna, tacy właśnie najsilnej w zwycięstwo wierzyli, tacy najbardziej byli ślepi na najwyraźniejsze szanse przegranej.

Gość byłego kamerjunkra miał w twarzy wyraz, jakimś odcieniem smutku nacechowanej powagi. Wysoki, brunet ciemny, blady i biały, słaby, jakby przedwcześnie rozwiniętej i zbyt rozbujałej budowy, dwudziesto-kilko letni zaledwie, chociaż się stosownie do zmian fizjognomji podczas rozmowy raz trochę starszym, drugi raz trochę młodszym wydawał, miał coś konspiratorskiego w swojej postawie, przynajmniej pan Artur mówił sobie w duchu, że poznałby w nim konspiratora, gdyby go zobaczył między setką ludzi najlojalniejszych.

Ta uwaga w myśli zrobiona była powodem, że były kamerjunkier z niejaką obawą patrzył na swego gościa i byłby go traktował bardzo uprzejmie, choćby tak nawet nie wypadało z ułożonego w domu marszałka politycznego programu.

— Zaprosiłem pana do siebie, — rzekł, gdy mu gość powód przybycia objawił i pełnomocnictwo swoje okazał, — chociaż właściwie ojciec jest jedynym zarządcą naszego rodzinnego mienia, sądzę jednak że sprawa źle na tem nie wyjdzie... Starszym trudno się dziwić, że są nawet i w takich rzeczach rachunkowi, ale my młodzi, — dodał śledząc uważnie wrażenia jakie jego słowa na nieznajomym robiły, — myśmy dla sprawy gotowi oddać wszystkc, nieprawdaż panie?...

— Tak przynajmniej być powinno, — odpowiedział nieznajomy, — na kimże sprawa ma stać jeżeli nie na młodzieży?. Na tych co się przeżyli nie ostoi się pewno, zresztą oni w młodości dług swój spłacili, teraz nam od nich tylko rady i środków materjalnych potrzeba. Pański ojciec...

— Mój ojciec, panie, spłacił już dług ojczyźnie, tak, spłacił — przerwał szybko kamerjunkier, — teraz na mnie kolej, i ja go spłacę... Zostaję w bezpośrednich stosunkach z Warszawą i tam już moją ofiarę złożyłem, ale to była moja osobista ofiara... teraz kolej na ojca. Biorę na siebie wszystko, choćby się rozgniewał o to co zrobię. Czy panu oznaczono kwotę jakiej masz żądać od nas?...

— Nie... na pierwsze potrzeby ruchu wystarczy dobrowolna ofiara od takich którzy myślą jak pan.

— O! to pewne, że wystarczyłaby, gdyby takich było wielu, — odpowiedział pan Artur i dodał szybko: — Wiesz pan co... ja się w podobnych rzeczach nie targuję... daję po sto rubli z każdej naszej posiadłości, to jest z Łaszczyniec Wielkich i Małych i z Gradowiec, bo reszta to tylko nomenklatury niesamoistne, właściwie nic nie przynoszące... Razem rubli trzysta?... czy zgoda?

Poborca zrobił dziwną minę, której znaczenia były kamerjunkier odgadnąć wcale nie usiłował, a nawet udał że jej nie spostrzega. Wziął skwapliwie milczenie za potwierdzenie i powtórzył:

— A zatem trzysta... wierzaj mi pan, że tak jesteśmy darci przez Moskali, — wymawiając ten wyraz pan Artur obejrzał się instynktownie z jakimś niepokojem, — tak jesteśmy wysysani, że nie wiem czy w całym domu znalazłoby się o wiele więcej gotówki... Ale któżby nie oddał ostatniej koszuli, żeby się pozbyć tych pijawek?

Poborca milczał. Ex-kamerjunkier zbliżył się do eleganckiego biurka stojącego w rogu pokoju i wysuwając jednę z jego szufladek dodał jeszcze:

— Więc trzysta... a z Zaskala pięćdziesiąt...

— Z Zaskala? — powtórzył poborca z niejakiem zdziwieniem.

Pan Artur wziął to zdziwienie nie w takiem znaczeniu jakie miało rzeczywiście, poprawił się zatem i rzekł:

— Chciałem powiedzieć sto... razem czterysta.

— Dziś właśnie będąc w Gradowcach — rzekł nieznajomy — otrzymałem z Zaskala tysiąc rubli od dziedziczki tej wioski...

— Tak jest, — odparł szybko, jąkając się cokolwiek pan Artur, — od pani Wydrzyny, byłej dziedziczki. Są to stosunki majątkowe, o których wiele byłoby mówić. Rotmistrz Gradowski sprzedając Zaskale memu ojcu, pozostawił swej córce z ceny szacunkowej pewną sumę na takie cele... Pani Wydrowa czy Wydrzyna... *je ne sais pas au juste comment doit-on l'appeler...* spełnia jego wolę.. Mój ojciec przecież nie może się uchylać od patrjotycznego obowiązku, jako tabularny i faktyczny dziedzic Zaskala, i sądzę, że pani Wydrzyna nic nie będzie miała przeciwko temu... Zatem czterysta.

To mówiąc były kamerjunkier posunął ku nieznajomemu cztery asygnaty tęczowej barwy.

Poborca napisał kwit podwójny, odciął jedną połowę, drugą przy sobie pozostawił na dowód, do wyrachowania się przed tymi którym obowiązany był złożyć pieniądze, i wręczył odcięte pismo dziedzicowi świetnego imienia Szóstackich.

— Mam do pana jeszcze jedną prośbę, — rzekł do niego wówczas ex-kamerjunkier z niejakiem wahaniem.

— Słucham.

— Pan masz przy sobie zapewne blankiety której z władz narodowych... więc możebyś pan... ot tak... dla spokoju mojego ojca... na przypadek gdyby się wydało... gdyby przy jakiej rewizji ten kwit u nas znaleziono... napisał na nim upomnienie bardzo surowe, że ofiary narodowej nie składa i rozkaz aby pod karą śmierci zapłacił z Łaszczyniec, Gradowiec i Zaskala...

— Ależ obywatelu, — oburzył się poborca, — wszakże to najdobrowolniejsza ofiara, przymusowej w tej chwili żądać nie mam prawa.

— Wiem o tem... ale taki rozkaz to dla pana drobnostka, bagatela, a ojca mego uspokoi... przyznam się panu nawet, że to jest potrzebne dla sprawy... taki rozkaz to patent na lojalność... pokazawszy go jeneral-gubernatorowi można pozyskać jego zaufanie i niejedną wiadomość pożyteczną dla sprawy z niego wydobyć. Czy pan sądzisz, że obok walki z bronią w ręku nie jest potrzebną walka podstępem i intrygą? Jeżeli pochwycimy ich tajemnice, to więcej nieraz znaczy niż gdybyśmy bitwę wygrali...

Poborca ofiary narodowej nie mógł jakoś zrozumieć tej dyplomacji i długo jeszcze były kamerjunkier mówić musiał w tym duchu, nim go przekonał. W końcu jednak mógł powinszować sukcesu swej wymowie, bo otrzymał żądany dokument.

— Wszak pan zostaniesz u nas na objedzie i na noc, — rzekł wówczas do nieznajomego.

— Nie, panie, prosiłbym o konie.. spieszę dalej.

— Dokąd pana odwieść?

— Do Zahajpolszczyzny.

— Do tych biedaków?... cóż oni dadzą?..

— Ba! — odpowiedział z przekąsem niejakim poborca, — dziedzice którzy nie są dziedzicami dają czasem dziesięćkroć więcej od dziedziców tabularnych i faktycznych.

Były kamerjunkier musiał nie słyszeć tych słów, bo podczas gdy były mówione bardzo pilnie strzepywał popiół, który mu opadł z papierosa na kolano.

(C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy).

XI.

Kobiety.

Między gośćmi margrabiny poznałem pewnego oryginała, który pod każdym względem zasługiwał na nazwę kosmopolity. Z pochodzenia był Włochem, z urodzenia hrabią, a z zawodu starym i wiecznie podróżującym kawalerem. Wycieczki najpierw po Europie, a potem po Afryce, Chinach, Japonji i Ameryce, tak dalece zabiły w nim Włocha, że z największą swobodą można z nim było mówić o najdrażliwszych stosunkach jego ojczyzny, nie obrażając tem jego dumy narodowej. Kobiety bardzo go lubiły, bo się do wszystkich umizgał i pięknie opowiadał, a mężczyźni zbliżali się doń, jak do dziwaka, od którego mogli usłyszeć niejedną trafną uwagę.

O północy, po skończeniu pierwszej serji tańców, gdy towarzystwo podzieliwszy się na mniejsze i większe grupy, zaczęło bawić się rozmową, zbliżyłem się do mego podróżnika.

— Daruj hrabio, jeźli ośmielę się zadać ci kilka pytań niedyskretnych.

— Wstęp zbyteczny — odrzekł; — pytaj pan tylko, a na wszystko odpowiem.

— Najpierw racz mi hrabio powiedzieć, czy nasza gospodyni jest mężatką, czy wdową?

*

— Mężatką.

— Ależ margrabiego nigdy jeszcze nie widziałem!

— I możesz pan bywać w tym domu całych dziesięć lat, a pewnie go nie spotkasz.

— To szczególne!

— Przeciwnie, to rzecz całkiem zwyczajna... Włosi to potomkowie Rzymian: i jedni i drudzy nie znali życia domowego. Rzymianin politykował na forum.—Włoch zanudza wszystkich polityką i swemi interesami w kasynie lub w kawiarni. U Rzymian i Włochów mężczyzna jest wszystkiem, a kobieta na to się tylko rodzi, aby naród nie wygasł. Ponieważ mężczyzny w domu nigdy nie ma, więc kobiety same przyjmują. Ale czy wiesz pan, jakie tego następstwa? Oto rodzina najzupełniej się rozprzęga... Popatrz dokoła. Mamy tu kilkadziesiąt małżeństw: żony piękne i młode, mężowie także niestarzy. One bawią się z przyjaciółmi domu, a mężowie bądź umizgają się do innych, bądź poruczywszy swoje panie opiece znajomych, wynoszą się do kasyna.

— I ci panowie wiedzą, że ich żony mają przyjaciół?

— Spodziewam się! i żaden z nich się nie martwi, byleby tylko jego żona miała takiego przyjaciela, za którego by nie potrzebowała długów płacić. Dopiero gdy na stół przyjdzie kwestja pieniężna, w panu małżonku zaczyna się zazdrość budzić...

— Któż winien, że pod względem życia rodzinnego tak smutne u was stosunki?

— Całe społeczeństwo, a przedewszystkiem wychowanie. Synowie idą do szkoły, aby się czegoś nauczyć, i w świat, aby się wyrobić. Córki natomiast zostają w domu przy matce, która im nie da ani nauki ani znajomości świata, bo tego sama nie ma. Żyjąc we Włoszech mogłeś się pan przekonać, jak kobiety nasze są zaniedbane pod względem intellektualnym. Nawet w tem oto towarzystwie, złożonem z samych hrabiów i książąt, nie znajdziesz trzech kobiet z któremi byś mógł mówić o czem innem, jak o strojach, balach, plotkach lub... miłości. Dziewczyna siedzi więc zamknięta w domu do szesnastego roku życia; matka strzeże jej jak oka w głowie, śledzi każdy ruch, każde spojrzenie i tylko raz w niedzielę wyprowadza córkę do kościoła. Ona boi się, aby córka, która urodziła się z krwią gorącą, nie poszła zbyt wcześnie za tej krwi popędem... Dla tego to u nas wyrobiło się przysłowie, że każda kobieta jest zgubiona, którą mężczyzna bodaj raz pocałował... Nie zasady zatem strzegą Włoszkę jak Angielkę, ale kraty u okien i zamki u drzwi. Dziewczyna tak wychowana wychodzi za mąż. Z początku gorąco kocha swego męża, ale gdy po roku on coraz rzadziej zaczyna do domu zaglądać, miłość stygnie — i następstwa już nietrudne do przewidzenia. To co pan widzisz w naszej sferze, powtarza się także w średniej warstwie, choć może na mniejszą skalę, i jeden tylko lud jeszcze jako tako się trzyma, gdyż praca nie pozwala uganiać za miłostkami przelotnemi...

— Niepoprawny grzeszniku! — zadźwięczał za nami srebrny głosik mojej bogini — pan jak widzę, psujesz nam młodego gościa... Ręczę żeś nas pan obmawiał! No, przyznaj się hrabio, o czem rozmawialiście z takiem zajęciem?

— O kwestji rzymskiej, piękna hrabino.

— Wykręcasz się hrabio, widać żeś dużo nagrzeszył! Ale nie słuchaj go pan — dodała, wsuwając pod moje ramię swoją śliczną rączkę— i nie daj się popsuć... Chodźmy!

Przeszliśmy do drugiego salonu, i tam wśród krzewów egzotycznych usiedliśmy na kozetce pod oknem.

— Mówiono mi, żeś pan przyjechał z Polski?...

— Rzeczywiście.

— Ani byś uwierzył, jak mnie to ucieszyło! Polacy są bardzo grzeczni i dystyngowani. Za moich lat dziecięcych w domu rodziców bywał często polski hrabia K... który mnie bardzo kochał. Odjeżdżając, zostawił mi na pamiątkę medaljon, który noszę na sercu.

— Można go zobaczyć?

— Ciekawość zbyt wielka.

— Czy zawsze?

— Zależy to od okoliczności..

W piersi brakło mi oddechu.

— Noszenie medaljonu na sercu — przemówiłem po krótkiem milczeniu, którego potrzebowałem na zebranie myśli — świadczy o sercu tkliwem...

— Bo na chrzcie dano mi imię *Alma*.

— Alma znaczy d u s z a jeźli się nie mylę.

— A dusza i serce to u mnie synonimy.

— Jak to rozumiesz hrabino?

— Serce jest u mnie duszą, a dusza sercem.

Długo, bardzo długo rozmawialiśmy z sobą pod osłoną roślin egzotycznych. Panie i panowie często tu zaglądali, ale ta nasza siesta nikogo nie dziwiła; każdy uważał ją za naturalną.

Tymczasem skończyły się tańce i goście margrabiny zaczęli się rozchodzić.

— Mam nadzieję, że przynajmniej dziś odprowadzisz mnie pan do powozu — rzekła Alma patrząc mi bystro w oczy.

Tak byłem zamyślony, a może nawet rozmarzony, że nic na to nie odpowiedziawszy, podałem jej ramię i wyszliśmy w milczeniu.

Przed pałacem stało kilkadziesiąt powozów, a pod arkadami zebrali się wszyscy goście. Noc była śliczna, księżycowa, łagodna, jakby u nas w maju.

— Wiecie co — zawołała nagle hrabina Alma — przyszła mi myśl wyborna! Noc taka piękna, że stokroć przyjemniej iść pieszo, jak jechać w powozie. Czy zgoda?

— Zgoda! — wszyscy odpowiedzieli, i tak parami ruszyliśmy naprzód.

Przy końcu ulicy rozdzielały się nasze drogi; w tem miejscu był prawdziwy węzeł szerszych i węższych uliczek, biegnących w rozmaitych kierunkach i zakrętach. Właśnie gdym chciał zapytać moją towarzyszkę, w którą pójdziemy stronę, za memi plecami dał się słyszeć głos męski:

— Mam nadzieję, że pan zechce odprowadzić moją panię.

Odwróciłem głowę, ażeby się przekonać, czy te słowa do mnie były zwrócone. Przedemną stał mężczyzna słuszny, młody i przystojny, który prowadził pod ramię jednę z naszych danserek.

— Zbytnia gorliwość, kochany mężu — odpowiedziała za mnie piękna Alma:—Polacy słyną z grzeczności.

Więc to był jej mąż, a ja z nim dotąd słowa nie zamieniłem!

Hrabia ukłonił mi się grzecznie i poszedł na prawo z resztą towarzystwa, a ja z piękną hrabiną zwróciłem się na lewo w uliczkę wąską i ciemną.

Cudnaż to była noc! Blady księżyc oświetlał majestatyczne szczyty pałaców piętrzących się na prawo i lewo, a głuchą ciszę przerywał tylko turkot powozu hrabiny, który o kilkaset kroków przed nami zwolna się toczył, zmięszany z poważnemi krokami lokaja, idącego w tyle w przyzwoitem oddaleniu, aby czuwać nad naszem bezpieczeństwem... Tak mi było przyjemnie, że o *malfattorach* nawet nie pomyślałem!

Wiesz, że romansów w mojem życiu nie mało przeczytałem, i gdybym je wszystkie zebrał, utworzyłyby wcale poważną bibljotekę; a jednak dziś dopiero widzę, że są sytuacje, których romansopisarze jeszcze nie wyzyskali. Snać podpatrywanie życia nie należy do łatwych rzeczy. Bo i powiedz mi, czy czytałeś w jakim romansie o rozmowie rąk między młodymi ludźmi płci odmiennej, którzy przypadkiem idą razem ulicą i chcieliby sobie wiele powiedzieć, a jakoś im nie wypada?... Ona pragnie go ośmielić, on radby od niej pierwsze słowo usłyszeć, ale że się nie udaje, więc rozmawiają tylko zdaniami urywanemi, uzupełniając resztę rąk poruszeniem.

Prowadziłem ją spokojnie, szliśmy trotuarem bardzo równym i wygodnym, a mimo to niejednokrotnie, zapewne z powodu ciemności, Almie zdawało się, że przed nią leży kamień, o który nóżką uderzy. Wtedy kurczowo przyciskała paluszki do mego ramienia, piersią do mnie się tuląc, a trwało to długo, nierównie dłużej, niżeli było potrzeba by minąć miejsce, w którem miał leżeć ów kamień fatalny... Ten sam ruch powtarzał się przed fasadą każdego większego pałacu... ale to mnie już nie dziwiło... wszak pod kolumnadami do niedawna jeszcze ukrywali się w nocy rozbójnicy bolońscy!

A ja? Mnie zdawało się znowu, że rączka Almy wysuwa się z pod mego ramienia... wtedy brałem ją drugą ręką za drobne paluszki, które mimo rękawiczki były okrągłe, pulchne i ciepłe... Że takie przytrzymywanie dłużej trwało jak jedno mgnienie oka — łatwo zrozumiesz! a że się często powtarzało, o tem przecie nie potrzebuję ci mówić.

Byliśmy już nie daleko pałacu hrabiny, a na rozmowę nie mogło się jeszcze zebrać. Słowa nasze były ciągle urywane — obojętne... Wreszcie ona, korzystając z nadarzonej sposobności, —powóz wjeżdżał właśnie przez bramę—przemówiła półgłosem:

— Ja nie mam w tym roku dni recepcyjnych, bo moja mama chora, ale dobrych przyjaciół przyjmuję codzień o godzinie trzeciej...

— Mogę się do nich zaliczyć?

— Zależy to od pańskiej woli.

Ścisnąłem ją za rączkę, a wróciwszy do domu, spałem snem niewinnego dziecka do 12ej w południe.

O pół do trzeciej zacząłem się ubierać, a z uderzeniem 3ej zadzwoniłem na pierwszem piętrze w pałacu Almy. Może powiesz, żem się nadto spieszył, że trzeba było kilka dni przeczekać... Ach! mój drogi, w życiu człowieka jeden dzień zaważy czasem za rok cały. A zresztą wyznaję, że cierpliwość nigdy nie należała do przymiotów mego charakteru.

Wyszedł lokaj ugalonowany, podałem mu kartę wizytową. Urwis to wielki! Nie przeczytał nazwiska, ale że musiał mnie zapamiętać, lub może nawet słyszał wczorajszą naszą rozmowę, więc uśmiechnąwszy się tylko znacząco, wpro-

wadził mnie do saloniku, a sam poszedł do hrabiny.

Ach ten salonik! Nie wielki był, prawda, ale brak rozmiarów zastąpiło w nim piękno prawdziwe. Na suficie świetne malowidło *al fresco* przedstawiające Amora i Psyche: na jednej ścianie płótno z tym samym łabędziem, któremu przed dwoma laty przypatrywaliśmy się tak długo w galerji Drezdeńskiej: na ścianie przeciwległej wesoły Bachus, otoczony tłumem nie mniej wesołych towarzyszek: u drzwi wspaniała portjera, przy oknach wazony japońskie z krzewami zwrotnikowemi, a dokoła ścian umeblowanie tureckie. Ponieważ okna wychodziły na południe, więc zapewne aby promienie słońca nie psuły malowideł, zielone story były spuszczone... Ciekawe światło przedzierające się szparami, dozwalało rozróżniać przedmioty, ale że było zbyt słabe, więc cały salonik wyglądał tajemniczo, ponętnie, roskosznie, jak harem maurytańskiego księcia, który różnobarwne swoje okna przysłania siatką z drzewa. On tak zazdrośny o swoje kobiety, że nie pozwala nawet słońcu, by natrętnie zaglądało do jego świątyni domowej.

Weszła Alma szybko i z uśmiechem na twarzy, a ja zamiast naprzód postąpić o krok w tył się cofnąłem... Zakłopotanie moje nie trwało jednak długo i pospieszyłem ją powitać. Ale na pierwsze wejrzenie któżby nie był w kłopocie! Piękniejszą była i od tej Psyche, i od tej Ledy, bo tamte malowane—a ona żyjąca! Miała na sobie jakiś strój turecki, dalipan nie pamiętem jakiego kroju, spięty srebrnym pasikiem i z tak szerokiemi rękawami, że gdy rączkę podniosła, aby mnie przywitać, mogłeś zobaczyć i podziwiać całe ramię, jak z kararyjskiego marmuru wykute, a żadną gazą nie sprofanowane. Włosy na głowie miała niby nieuczesane, pomierzwione, ale ten bezład był tak dziwny, fantastyczny i harmonijny, że równie pięknej fryzury ani przedtem ani potem nie widziałem. Oto jej strój cały. Żadnych ozdób, żadnych klejnotów, żadnych dodatków.

Po pierwszych słowach, pełnych zimnej etykiety, piękna moja gospodyni uderzyła w dzwonek, stojący na hebanowym stoliczku, a gdy wszedł służący, rzekła:

— Przynieś mi chłopczyka! — po odejściu zaś lokaja dodała: — Muszę panu przedstawić mojego jedynaka... chcę byście się poznali i pokochali...

Bona przyniosła malca, mogącego mieć najwięcej trzy lata, a pięknego, jakby go Murillo wymalował. Matka pocałowała go serdecznie w drobne usteczka, a potem pokazując na mnie rzekła:

— Pocałuj teraz tego pana, bo to nasz przyjaciel...

I dzieciak rzucił mi się na szyję i pocałował głośno, z całą serdecznością swego wieku. Po tym pierwszym całusie pokochałem go prawdziwie, bo któżby nie kochał malca, mającego taką mamę!..

Wyszła bona, a z nią synek Almy.

Może zapytasz o czem mówiliśmy z sobą?... Alboż ja pamiętam! Tego tylko nie zapomniałem, że rozmawialiśmy swobodnie, że tośmy się śmiali, to milczeli; że nikt niedyskretny nie przerwał naszej pogadanki; że wizyta moja przeciągnęła się znacznie dłużej niż przystało na pierwszą; że gdym wychodził, nieznośny fagas o mało mnie nie zirytował uśmiechem, z którym drzwi otwierał, i że na ulicy powiedziałem sobie w duchu:

— Nie ma jak wschodnie saloniki, których okna na południe obrócone!“

W tem miejscu, jakby nieumyślnie, Karol urwał wątek opowiadania, i szczegółowo zaczął mi opisywać swoje pojedynki z mazzinistami, które nastąpiły w tym samym czasie, a które czytelnik zna już z poprzedniego rozdziału. Po rozprawieniu się z ostatnim zapaśnikiem, Karol tak dalej pisał:

„Kochaliśmy się, ach! kochali... Co dzień o 3 z południa byłem w jej pałacu, ale prócz niej i służącego, który się już złośliwie nie uśmiechał, bo za każde otworzenie drzwi dostawał *lirę*, nigdy nikogo nie spotkałem. Hrabiego poznałem bliżej nie we własnym jego domu, ale w jednym z salonów. Był mi bardzo rad i rozmawiał ze mną długo, swobodnie, jak z najlepszym przyjacielem.

Karnawał był na schyłku; w teatrze miejskim zapowiedziano wielką maskaradę. Tego dnia, jak według zwyczaju odwidziłem Almę.

— Będziesz na dzisiejszej maskaradzie?

— Będę z markizem P.

— W jakim kostjumie?

— Obadwa będziemy w marynarskich.

— Jaka szkoda, że was nie zobaczę! Moja mama właśnie dziś z łóżka wstała, i z tego powodu cała moja rodzina zejdzie się dziś do mnie aby powitać rekonwalescentkę. Nawet pan mąż obiecał się na herbatę... Cha! cha! cha! to się wynudzi! Ale — dodała po chwili namysłu— przyjdźcie do mnie około dziesiątej.. Możecie być w maskach, wszak to zwyczaj u nas przyjęty. No cóż, mogę się spodziewać?

— Wszak wiesz, hrabino, że każde twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

— Bez tych grzeczności, które do sarkazmu podobne... Ja tylko tego chcę i pragnę, co tobie sprawia przyjemność.

O godzinie 10 weszliśmy w maskach do salonu Almy; służba nie pytała nas o nazwiska. W rzeczy samej zastałem kilkanaście osób, a między niemi hrabiego, który postrzegłszy mnie pierwszego uśmiechnął się dwuznacznie, jakby się domyślał, kto się pod maską ukrywał. Mój towarzysz, obeznany ze stosunkami domu, bo był nawet dalekim kuzynem gospodarza, intrygował panów i panie, a ja stanąwszy pod oknem starałem się zapiąć ciasną rękawiczkę. Mozolna ta praca nie skończyła się pomyślnie, bo guzik urwał się i upadł. Mimowoli spojrzałem na kobierzec, szukając wzrokiem zguby. Alma, która stała nieopodal, domyśliwszy się czego szukam, zbliżyła się z wyrazem szczerego współczucia.

— Biedna masiu, guzik odpadł, jaka przykrość! Rękawiczka bez guzika to nieszczęście... Janie! — zawołała na służącego — weź od masi rękawiczkę i powiedz pannie, aby mocno guzik przyszyła.

Skłoniłem się grzecznej gosposi i zdjąłem rękawiczkę. We dwie minuty służący wrócił z nią do salonu; hrabina jednak odebrała mu rękawiczkę we drzwiach, a zbliżywszy się do mnie, aby mi ją oddać, rzekła pospiesznie:

— Przed dwunastą wpadnę na chwilę do teatru...

— W jakim stroju?

— Czarne domino aksamitne z białą kamelją...

Po półgodzinnej rozmowie poszliśmy na maskaradę. Świetna to była maskarada, najświetniejsza jaką w życiu widziałem. Cała arystokracja dała sobie rendez-vous tego wieczora, to też w sali świeciły brylanty, nęciły perły, szeleściały jedwabie, płynęły aksamity, a loże przepełnione strojnemi damami i wytwornymi kawalerami, były podobne do żywych bukietów. O pół do dwunastej, na dany znak, we wszystkich lożach zapalono kandelabry, do każdej wniesiono mały stolik z winem i pasztetami — i zaczęła się wieczerza ogólna, przerywana strzałami szampana i śmiechami biesiadujących. Sala płonęła tysiącem świateł — zdawało się, że to jakiś pałac zaczarowany.

Mój towarzysz miał lożę parterową. Na kilka minut przed uderzeniem dwunastej, patrząc na drzwi główne, ujrzałem maskę w dominie aksamitnem, z białą kamelją u piersi. Serce gwałtowniej mi uderzyło... i słuchając jego głosu zbiegłem natychmiast na dół i mojej pięknej ramię podałem.

W milczeniu przeszliśmy salę, aby usiąść pod kolumnadą, która wznosiła się na samym końcu sceny. Dokoła nas roiły się tłumy, lecz my byliśmy odosobnieni w tym tłumie...

— Widzisz, żem dotrzymała przyrzeczenia, ale przybiegłam tylko na dziesięć minut.

— Czemu tak krótko?

— Bo moi goście są pewni, że jestem w buduarze... Niepostrzeżona wymknęłam się z salonu, i pospieszyłam do ciebie... Czyś kontent?

— Jam nawet dumny!

Kilka chwil toczyła się między nami cicha rozmowa, póki na zegarze pod sufitem wskazówka nie zatrzymała się na 12.

— Już północ... Chodźmy!

Kwadrans minął, zanim wyszliśmy z sali, takie fale zalewały wszystkie wyjścia i korytarze. Zarzuciwszy płaszcz w garderobie wyprowadziłem Almę na ulicę.

— Wezmę dorożkę.

— Nie potrzeba, toby mogło zwrócić czyją uwagę... do mnie tak blisko.

We dwie minuty byliśmy przed jej pałacem. Pierwsza brama stała otworem, druga żelazna, znajdująca się wewnątrz sieni, była zamknięta. Hrabina zaczęła szukać po kieszeniach — ale na próżno.

— Wiesz co się stało? Zapomniałam klucz od tej bramy.

Księżyc filut wdzierając się przez łuki arkad wpadał do sieni i do połowy nas oświetlał.

— Cóż teraz poczniesz?

— Albo ja wiem...

Milczała chwilę, a potem nagłym ruchem zerwawszy mi maskę i swoją zdejmując, zarzuciła mi ramiona na szyję, i głosem słodkim, melodyjnym, mogącym umarłego wskrzesić, szepnęła tuląc się do mej piersi:

— Mniejsza o klucz!... Pocałuj mnie Carlo!...

Usta nasze zwarły się w pocałunku długim, cichym, wulkanicznym — gdy nagle jakieś kroki zbudziły nas z chwilowego zapomnienia. Odskoczyłem, ona w głąb się cofnęła, i zanim miałem czas spojrzeć na nowoprzybyłego, Alma pociągnęła za dzwonek u bramy i z uśmiechem pełnym dystynkcji rzekła ku mnie zwrócona:

— Dziękuję ci, signor Carlo, żeś mnie raczył odprowadzić. Dobra noc!

— Dziękuję i ja — powtórzył głos drugi, męski — dobra noc!

Ten głos był własnością hrabiego...

Chwilę stałem jak student, którego pan profesor zobaczył z palącem cygarem w ustach

a potem skłoniłem się małżonkom, i krokiem przyspieszonym wypadłem na ulicę.

Wróciwszy do teatru chciałem się bawić, śmiać, upić, aby pamięć utracić — ale nic się nie udało. Serce biło gwałtownie — dziwne drżenie opanowało wszystkie członki — mózg mi płonął — głowa omało nie pękła... Przed pierwszą byłem w domu.

Cóż ty na to? nieprawda, że skończona awantura, jedna z tych włoskich, których tyle naczytaliśmy się w kraju, w której nieszczęśliwa żona ginie pod sztyletem zazdrosnego męża, a jej kochanek bądź z rozpaczy sam sobie życie odbiera, bądź wyzwany przez znieważonego małżonka, także kona pod pchnięciem jego szpady! Takiego rozwiązania i ja się spodziewałem... to też całą noc nie mogąc oka zmróżyć, biegałem jak szalony po sypialni, a myśli chaotyczne szalały po mózgu jak Samum po spalonych piaskach Sahary. Biedna kobieta! — mówiłem do siebie — ona mnie kochała tak szczerze, bezinteresownie, a ja, ja nikczemny dopuściłem, aby się tak skompromitowała!... Jak sobie hrabia postąpi? Może ją struje, może sztyletem śpiącą przebije, a może poprzecinawszy żyły u tych rączek, które tak ślicznie wyglądały w rękawach tureckich, wsadzi ją potem do ciepłej kąpieli, aby umarła zwolna usypiając... O tak, tak, on to zrobi, bo to włoskie zwyczaje! Cokolwiek się stanie pójdę, aby ją ocalić, lub przy niej zginąć!

I już byłem przy drzwiach, ale rozum zatrzymał mnie u progu. Bramy obie zamknięte, nie wpuszczą cię biedny Donkiszocie! Dopiero jutro dowiesz się co się stało... Czy nie zapóźno? Kto wie jednak, mówił dalej rozum-cynik, — czy hrabia jest tak krwiożerczym, jak tobie się zdaje. Wszak gdyby był bardzo zazdrośnym i bardzo mściwym, ona żegnając cię i dzwoniąc, nie byłaby tak swobodną, a któż jeźli nie ona zna najlepiej hrabiego?... Wchodząc, może nie widział waszego pocałunku — na dworze świecił księżyc, a wyście w cieniu stali... wszak człowiek wchodzący ze światła do miejsca ciemnego nic nie widzi... Rzeczywiście, to łatwo być może! Zresztą dziś ze wzrostem cywilizacji, morderstwa z zazdrości nie są tak powszechne jak w dawnych wiekach, zwłaszcza w klasach wyższych... Udowodniona zdrada kończy się w najgorszym razie tylko rozwodem... Jezli tak się stanie — zawołałem — jeżeli hrabia rozłączy się z żoną, ja jej nie opuszczę, nigdy, przenigdy, do grobowej deski!... Cokolwiek nastąpi, pójdę jutro do niej i uczynię co mi honor nakazuje.

Z temi słowy rzuciłem się na łóżko nierozebrany i usnąłem snem gorączkowym.

Gdym się zbudził, była druga z południa; we śnie musiały mnie trapić straszne obrazy, bo czoło było spocone — nic jednak nie pamiętałem. Przebrawszy się coprędzej, i włożywszy na każdy wypadek rewolwer do kieszeni, poszedłem do najbliższej cukierni na śniadanie, zkąd udałem się do pałacu Almy.

Nie będę ci opisywał uczuć, jakiemi dusza moja była w drodze przepełniona... łatwo sam się ich domyślisz... Powiem ci tylko, że będąc na wszystko zdeterminowanym, postanowiłem zachować się jak rycerz średniowieczny.

Z bijącem sercem u drzwi zadzwoniłem, a gdym usłyszał kroki nadchodzącego lokaja, ogarnął mnie taki strach paniczny, że omało nie uciekłem. Dla czego? Alboż ja wiem!...

W drzwiach ukazała się ta sama twarz, z tym samym wyrazem... Co to znaczy? Więc tu się nie stało nic nadzwyczajnego?

— Jest pani hrabina?

— Jest.

— Przyjmuje?

— Jak zawsze...

Wszedłem do znanego ci saloniku, łamiąc sobie głowę nad rozwiązaniem intrygi... Przecież gdyby jej lub mnie groziło jakiekolwiek niebezpieczeństwo, lokajowi byłaby dała inne polecenie...

Zaledwie skończyłem tę refleksję, weszła Alma, z tą samą co zawsze swobodą, z tym samym uśmiechem, z tą samą zalotnością! Jeżeli wczoraj zobaczywszy jej męża stanąłem jak student, to teraz widząc ją taką, byłem nie mniej zdekoncertowany. Ale ona ująwszy mnie za rękę, posadziła obok siebie na kozetce, i głosem spokojnym zapytała:

— Cóż tobie, Carlo, wyglądasz pomięszany?

— Bo nie wiem, hrabino, jak to sobie wytłumaczyć...

— Czy stało się co złego?

— Dziś nie... ale wczoraj...

— Cha! cha! cha! jam już o tem zapomniała.

— Więc nie widział?

— Alboż ja wiem! Na krótki wzrok nigdy się nie uskarżał, ale choćby i widział, cóż mnie to obchodzi? Zabawne spotkanie!... ja wybiegłam na chwilę do teatru, nikomu o tem nie mówiąc, a on uczynił tak samo po mojem odejściu... nic więc dziwnego żeśmy się spotkali.

— I nie zrobił ci najmniejszej wymówki?

— Jeszcze by tego brakowało! Czyż nie jestem panią mojej woli, lub czy może pytam za kim on wybiegł z domu? Dajmy lepiej pokój tej pogadance, i pocałuj mnie Carlo!

Ale jam jej nie pocałował. Wstałem i ukłoniwszy się zimno wyszedłem. Przy drzwiach chciała mnie jeszcze zatrzymać, lecz musiałem jej rzucić spojrzenie bardzo zimne, bo się cofnęła, a gdym mijał przedpokój, usłyszałem za sobą jej śmiech głośny, szyderczy, spazmatyczny.

Czwartego dnia spotkałem ją na ulicy w towarzystwie porucznika od ułanów, który od kilku tygodni starał się o jej względy. Na mój ukłon odpowiedziała lekkiem głowy skinieniem, i zaraz zwróciła się do swego towarzysza, aby się doń uśmiechnąć jak niegdyś do mnie się uśmiechała...

Oto jak się skończył mój pierwszy romans... Kilka dni byłem jak zimną wodą oblany, ale do tygodnia wyzdrowiałem... a nawet powrócił apetyt. Kobiety wyższego świata, które mężów nie kochają, są prawie zawsze lekkie, ale każda z nich stara się zachować przynajmniej pozory... Cynizm u kobiety jest zabijający. Ach, czemuż Alma nie kłamała!...

A teraz posłuchaj dalszych przejść twego przyjaciela. (C. d. n.)

PAMIĘTNIKI
STANISŁAWA hr. MAŁACHOWSKIEGO,

Posła do Stambułu w czasie Sejmu czteroletniego, Generała, Senatora, Kasztelana Królestwa Polskiego itd. itd.

Z manuskryptu wydał i objaśnił
Wincenty hr. Łoś.

CZĘŚĆ I.

Pamiętnik ośmnastu lat młodości życia mego.

Wspomnienia lat młodzieńczych, lat nawet dziecięcych są żywiołem starości. Jest to historja każdego człowieka. Ośmdziesiąt lat licząc, gdy przebiegam te chwile ulotne, zdaje mi się, że opisując je, stoję między kolebką a grobem; są one rozrywką osłabionego umysłu, a szczegóły opowiadane, choć na pozór mało znaczące, nie będą dla czytelnika obojętnemi.

Urodziłem się dnia 26. lutego 1770 roku na Szląsku, w miasteczku Lignitz. Rodzice moi dla zaburzeń w kraju w czasie konfederacji i dla matki mojej ze mną w cięży będącej, tam się schronili.

Matka moja powiadała mi, żem się urodził bardzo słabym i drobnym, tak, że doktorowie mniemali, że to są suchoty, nie wróżyli mi życia, kazali mnie jednak kąpać w krwi świeżo zabitego wieprza i tak wychowałem się, doczekawszy późnej starości.

Rodzice moi dwa lata bawili za granicą z powodu zaburzeń konfederacji, mieszkali w szczupłym domku za miastem, żyli oszczędnie, bo komunikacja z krajem dla wojny przerwaną została.

Razu jednego opowiadała mi matka, że w lecie, gdy się moi rodzice spać położyli, w nocy wszedł złodziej do pokoju, w którym ja z matką i mamką spałem, i matka widziała jak zdejmował dwa wiszące zegarki i srebrną cukierniczkę obok stojącą, co zabrawszy wyszedł.

Gdy już wojska królewskie przymusiły konfederację do ustąpienia z kraju i czasami tylko po kilku konfederatów do domów partykularnych zajeżdżało, rodzice moi wrócili do siebie, wstąpiwszy do Końskich*), gdzie mieszkała matka ojca a moja babka, kanclerzyna wielka koronna z Humieckich Małachowska, mnie zaś zostawili w Włoszczowie, gdzie lato zawsze przepędzali, z piastunką Agnieszką i 50 letnią panną, nazwiskiem Boratyńską, gdyż dawniej takiej osobie rząd domu i dozór nad wszystkiem powierzano. Osobę taką nazywano pospolicie klucznicą, dziś ochmistrzynią.

Pewnego dnia zajechało kilku konfederatów na dziedziniec i stanęli przed oficyną mieszkalną, jeden z nich wszedł do pokoju, w którym ja z piastunką byłem i przybliżywszy się do mnie „pocałuj mnie“ rzecze, ja ręce wyciągnąłem ku niemu, a on porwawszy mnie uściskał mówiąc: „kiedyś się moich wąsów nie zląkł, to będziesz dobrym Polakiem, będziesz się bił tak jak ja za swoją ojczyznę,“ odchodząc dobył dukata i dał go piastunce mojej Agnieszce.

Matka moja, osoba najsłodszego charakteru, anielskiej dobroci, surowo mnie trzymała, będąc tego przekonania, że dzieci, gdy pobłądzą, chcąc się uniewinnić, szukają różnych wymówek w celu zatajenia swej winy.

Strzegła więc najbardziej, abym temu występkowi nie podlegał i tak pewnego razu, gdy się rodzice wybierali do Końskich, gdzie nazajutrz wyjechać mieli, matka moja pokazując swoje rzeczy, a chcąc otworzyć małą szkatułkę, kluczyka znaleźć nie mogła. Przywoławszy mnie „Stasiu, przyznaj się gdzieś podział kluczyk“, rzecze, ja się wypierałem, że nietylko kluczyka nie miałem, lecz nawet nie widziałem. Matka to uważała za upór i przywoławszy dziewczynę, kazała mnie przytrzymać, i sama swą delikatną macierzyńską ręką siedm rózg bolesnych mi dała. W kwadrans potem, ów kluczyk pomiędzy in-

*) Końskie, miasteczko nad Pilicą w województwie Sandomirskiem, niedaleko Radomia, przez długi czas własność hrabiów Małachowskich, teraz przeszło w ręce hr. Tarnowskich.

nemi rzeczami się znalazł i to w kieszeni mej matki, która będąc pobożną i pełną skrupułów, zaraz mnie przywołała i ze łzami ściskając rzekła: „odtąd będę ci wierzyć zawsze i całem życiem wynagrodzę ci tę moją niesprawiedliwość.“ Mieszkała aż do śmierci przy nas i była błogosławieństwem i szczęściem dla nas obojga, umarła prawie na moich rękach, a obraz jej we wszystkich niebezpiecznych chwilach życia mego, oczom moim się przedstawiał. To zdarzenie, tak silne na mnie uczyniło wrażenie, że w ciągu tak długiego mego życia, nigdy nie skłamałem i kiedy zmuszano mnie do odpowiedzi, którą zataić powinienem był, najczęściej zdradzałem się milczeniem.

Ojciec mój odebrał wychowanie szkolne we Francji w Lunewilu i był pomiędzy swymi braćmi najbardziej wykształcony. Jako starosta opoczyński, był na elekcji Stanisława Augusta i przez wziętość swoją w obywatelstwie, przeważył partje trzech konkurentów, dobijających się o koronę polskę mówiąc, że żaden naród obcych do panowania nie przywołuje, że z pomiędzy szlachty rodak powinien być obrany. Później zostawszy wojewodą Sieradzkim*), zasiadał w senacie i na wszystkich obradach był przytomny. Lecz patrząc na intrygi zagraniczne i widząc przez przekupienie za pomocą liberum veto sejmy zrywane, porzucił zawód polityczny i osiadł z żoną na wsi w Włoszczowie.

Pomieszkanie moich rodziców było wygodne, była to oficyna murowana składająca się z ośmiu pokoi papierowemi obiciami oklejonych, w jednym gabinecie wisiały na ścianach ryciny ze starego Testamentu, którym bardzo lubiłem się przypatrywać, a matka znaczenie ich mi tłumaczyła. Meble w owych czasach były skromne, drzewa mahoniowego nie znano, stołki płócienkiem pokryte, a jedno krzesło mojego ojca karmazynową trypą obite. Na rogu oficyny była kaplica, w której dwa klęczniki po obu stronach dla moich rodziców, a codzień rano o 9ej godzinie miewał mszę kapelan domowy, Bernardyn z Przyrowa, klasztoru św. Anny, ojciec Guido, wtedy drzwi od sali otwierano i wszyscy domownicy za usłyszeniem dzwonka się schodzili. W niedzielę i we wszystkie święta, jeżli była pogoda, chodziliśmy piechotą do kościoła o dwie wersty oddalonego. Droga prowadząca była to obszerna łąka nie murawą, ale różnobarwnemi kwiatami pokryta, zapach wydającemi, kilka stuletnich dębów formowało kląb na boku, a gdzie niegdzie dzikie owocowe drzewa były siedliskiem ptaków, których śpiew rozlegał się po całej przestrzeni. Spacer ten był dla mnie najprzyjemniejszy, biegałem łapiąc motyle; mam w pamięci każde drzewko, rzeczkę, u której była ławka do przechodu, a którą ja zwykle przeskakiwałem. Ksiądz kapelan Guido znał się na ogrodnictwie, urządził sobie mały ogródek przed oknami z samych kwiatów zwykłych, bo wtedy nie znano jeszcze ani dalij, ani hortenzji, ani kamelji, ale za to róże rozmaite, gwoździki dubeltowe w odmiennych kolorach, lewkonie, rezeda, zdaleka wydawały zapach. Po skończonej mszy, do której ja zawsze służyłem, ksiądz Guido prowadził mnie do osobnego pokoju, gdzie przez dwie godziny uczył mnie katechizmu, czytania, pisania i początkowej Arytmetyki. W sześciu też latach czytałem

*) Według ostatniego herbarza Czarnieckiego Mikołaj Małachowski został wojewodą sieradzkim po Wojciechu Opalińskim, zmarłym w r. 1774.

dobrze, pisałem wyraźnie, a za największą rozrywkę uważałem czytanie Żywotów Świętych, które były jak historyjki, książka była wielka i dużym drukiem pisana, a ja, wmyślając się w poświęcenie i cnotliwe życie Świętych, myślałem sobie, że gdy będę wykonywał przykazania Boskie, to i mnie Bóg da władzę robienia cudów.

Była także sadzawka na dziedzińcu, w której karpie tak były łaskawe, i przyzwyczajone, że gdy moja matka zbliżywszy się, zadzwoniła, one wychodziły na brzeg, a matka moja pożywienie im dawała, które ja w koszyku przynosiłem.

Co rok w lecie jeździła moja matka ze mną do Częstochowy, ojciec zaś mój zostawał w domu; pierwszego dnia podróży nocowaliśmy w Przyrowie u św. Anny o 4 mile odległym od Włoszczowy, tam jeden dzień na nabożeństwie przepędzaliśmy, a nazajutrz do Częstochowy, gdzie znowu tylko jeden dzień zabawiwszy do domu powracali. Kiedy pogoda była, jeździliśmy najczęściej spacerem do Czarncy*) o pół mili, gdzie jest grób Czarneckiego, a kościół i zamek wystawiony przez samych jego niewolników, Szwedów, gdyż w owych czasach każdy naczelnie dowodzący, miał prawo wziętych w niewolę używać na swoją korzyść. Drugi nasz spacer był piechotą na kopiec niezmiernie wysoki, gdzie według tradycji jeden z dwóch braci dziedziców Włoszczowy pokłóciwszy się, schronił się na ów kopiec i tam obwarowawszy się, bronił i napadał nawet na brata.

Żniwa na wsi odbywaliśmy — rodzice zawsze ze mną do stodół chodzili, na snopkach siadali, a ja tymczasem trawę z łąk koniom nosiłem.

O szczęśliwe to były czasy! Jak miłe ich wspomnienie! *podobnie niewinnych uciech, ani tak skromnego życia żaden dziś dom nie przedstawi.*

Rzadko kiedy bywali u nas goście, bo moi rodzice żyjąc w samotności, wizyt nie oddawali, najczęściej nas odwidzał brat mojej matki Męciński**), kasztelan spicimirski i bracia mego ojca, wojewoda mazowiecki***) i późniejszy marszałek, a podówczas referendarz koronny. Gościnnych pokoi nie było, więc po kolacji stół zbierali, siana przynosili, z tłomaków pościel wybierali, parawanami się oddzielali i tak się spać kładli, co zwano spać pokotem.

Na wszystkie główniejsze święta, wszyscy synowie do swojej babki do Końskich się zjeżdzali, moi rodzice także nie omieszkali pod ów czas znajdować się. Wyjeżdzali zawsze rano. U wszystkich magnatów był zawsze syn obywatelski na respekcie, jak mówiono uważany, siadał razem z państwem do stołu, miał swego konia, brał 300 zlp. obowiązkiem jego było mieć dozór nad stajnią i dworem, jechać konno przy karecie państwa, gdy byli w drodze. Kareta nasza była obszerna na drągach i pasach, bo resorów jeszcze nie znano, sześć osób mogłoby się było wygodnie pomieścić. Kiedyśmy jechali do Końskich, tyle osób w niej siedziało, mój ojciec, matka, ja, panna

*) Czarnca, wieś w gubernji kieleckiej, w powiecie włoszczowskim, niegdyś Stefana Czarneckiego, gdzie się też znajduje kościół w r. 1659 przez niego założony.

**) Męciński Adam mógł zostać kasztelanem spicimirskim dopiero w r. 1787, więc znacznie później.

***) Antoni Małachowski po Jędrzeju Mokronowskim, zmarłym w r. 1783, został wojewodą mazowieckim.

służąca i ksiądz kapelan, stangret wąsaty w ferezji polskiej z kołpakiem plisiowym, z którego spadał pąsowy wierzch z kutasem, hajduk z tyłu. Strój hajduków był węgierski, powszechnie używany. Duża bryka szła z tyłu z kredensem, czterma końmi zaprzęgnięta, na której znów kamerdyner, kredencerz, kucharz i garderobiana. Gdy pojazd ruszył, ojciec mój przeżegnawszy się, zaintonował „Zawitaj ranna jutrzenko“, potem całą koronkę do Matki Boskiej śpiewaliśmy wszyscy. Zwykle cztery mile ujechawszy stawaliśmy na nocleg we Mninie w karczmie, gdzie w szynkowej izbie siano nam na posłanie przynoszono. Na drugi dzień stawaliśmy w Końskich o 11ej rano, a chociaż były 4 pawilony na wzór tych, co są w Pilnitz*) w Saksonji, ojciec mój obierał na mieszkanie dwór obszerny, drewniany, który zwano starym pałacem, nie chcąc po schodach chodzić, a trzy pawilony były zamieszkałe przez mych stryjów, którzy żonaci, z całą familją przyjeżdzali swą matkę odwidzać.

Wypada mi w tem miejscu wspomnieć, kto był moim dziadem. Jan Małachowski**), syn Stanisława, wojewody poznańskiego***), który się wsławił traktatem kartowickim z Turkami zawartym, był od młodości na dworze Augusta III króla polskiego, elektora Saskiego. Monarcha ten tak go sobie upodobał, że go zrobił kanclerzem wielkim koronnym, obsypał łaskami, dawszy mu na własność ośm starostw, które on między synów swoich a moich stryjów podzielił. Król ten nosił strój polski, był to piękny mężczyzna, wysokiej i wspaniałej postawy. Od tego to czasu familja Małachowskich co do majątku i znaczenia politycznego górowała nad innemi. Król co rok ze swym kanclerzem i następcą księciem Karolem jeździł na sejm do Warszawy. Podczas tego pobytu książe Karol poznał pannę Franciszkę Krasińską urodzoną z Małachowskiej, pokochał i sekretnie ale legalnie z nią się ożenił. Król dowiedziawszy się o tem, zaczął zimno traktować swego ministra, nakoniec wstępu mu do swego pokoju zabronił*). Nie mógł znieść tej odmiany zepsuty poufałością króla, kanclerz i jednego razu o zwykłej godzinie poszedł na pokoje królewskie, a gdy mu szambelan oświadczył, że król nie chce się z nim widzieć, rzekł: „Idź i powiedz panu twemu, że kanclerz przychodzi w interesie korony,“ w moment otworzyły się podwoje, król stał z czołem zmarszczonem i surową postacią. „Przychodzę NPanie humór twój rozjaśnić, a siebie do łask dawnych zwrócić. Prawda, że szlachcianka Krasińska, moja siostrzenica nie mogła mieć prawa do korony książęcej, ale kiedy w posagu dla swego męża przyniesie inwestyturę księstwa Kurlandzkiego, to będzie powabniejszą

*) Pilnitz, do dziś dnia letnia rezydencja królów Saskich nad samą Elbą, pod Dreznem, składająca się z kilku starych budynków na żółto pomalowanych z chińskiemi malowidłami.

**) Jan Małachowski 1698—1762 był kanclerzem od r. 1746 do 1762 po Jędrzeju Załuskim, podkanclerzym zaś od 1736 do 1746, człowiek nadzwyczajnym obdarzony rozumem, i niepospolitej nauki, stronnik Sasów.

***) Stanisław Małachowski, ojciec Jana, występuje w wyprawach wiedeńskiej i wołoskiej, od 1690 kasztelan sieradzki, od 1692 wojewoda kaliski. od 1698 woj. poznański, poseł pełnomocny do zawarcia traktatu kartowickiego um. 1699 roku.

*) Przypomina się nam tu mimowoli niełaska Sułkowskiego, która się zaczęła od wzbronienia oglądania pańskiego oblicza. August III był tak słabym. że tego sposobu używał na wyrażenie swego gniewu, niemogącego w inny sposób wybuchnąć.

od arcyksiężniczki austrjackiej“ trzeba bowiem wiedzieć, że sejm dawał tylko inwestyturę, a kanclerz na tych obradach miał największą przewagę. (C. d. n.)

Z Opłatkiem.

Niedrukowany wiersz Mieczysława Romanowskiego.

Widna mi widna ustroń cicha, smętna,
Tam tam, daleko, duszy tak ponętna,
Sercu tak bliska! na wschód szare pola
Smutne, ponure jak dziś nasza dola,
Nad niemi z szronu biała mgła się kłębi,
Latają orły lub stada gołębi,
A po nich szarak pierzcha, stawia słuchy,
Albo od mogił wiatr pociąga głuchy,
W ziół chrzęście dzwonią dziwne jakieś słowa..
Niby hetmańska pieśń Jana z Tarnowa.

Czerwone słońce po za las zapada,
Na nocleg siadły białe ptaków stada,
Na anioł pański dzwon kościelny dzwoni. —
A cisza wielka w lasach i na błoni...
I we wsi spokój, jak gdyby anieli,
Od pól niebieskich tędy przelecieli
Z wieścią promienną, że między ziemiany
Przy nocnej zorzy zstąpi Pan nad Pany.

Popatrzcie! znacie od cmentarza drogę?
Ja wam tam każdy krzaczek nazwać mogę.
Może zachodnia mgła wisi nad drogą,
Że nie widzicie, patrząc tam, nikogo.
Może za silnie dzwon pacierze głosi,
Że wiatr wam echa kroków nie zanosi,
I o pielgrzymie nie poda wam wieści,
On, co tam w liściu tak smutno szeleści.

Duch mój tamtędy niby strzelec z boru,
Do bielonego pośród świerków dworu
Idzie, najdrożsi, stanąć między wami,
Gdy się będziecie dzielić opłatkami...
Bo mu widoku waszego potrzeba,
Waszych uścisków, słów, waszego nieba,
I życzeń waszych i błogosławieństwa
Na drogę życia, a może męczeństwa...
Na wszystko, wszystko, co los mu nadarzy,
A co on życzy wam, czytajcie z twarzy!
Dusza ostyga często w zimnem słowie...
A częściej serce nie mieści się w mowie.

Więc do was najpierw. Duch oto się zgina,
Wy starą dłonią błogosławcie syna!
Wy, których ręka gdy się dotknie skroni,
Dziecku krainy aniołów odsłoni;
Wy, których miłość najsilniejszą tarczą,
Wy, których modły przed Bogiem wystarczą,
By mię minęła wszelka zła godzina...
Ojcze i matko błogosławcie syna!

A teraz naszej rodziny gromadka...
Oto was sercem proszę do opłatka;
Bóg daj wam lepiej we wszystkiem co wasze!
Bóg szczęść nam naprzód we wszystkiem co nasze!
Uścisk wasz szczery! — Świat, życie nas dzieli,
Niechże się miłość pośród nas anieli.

A teraz idźcie — tam dano do stołu
I ja tam z wami zasiędę pospołu.
O! — a wesoło choć serce zaboli...
Jakbyśmy nigdy nie znali niewoli...

* * *

Tam — tam od mogił mgła się zwija w kłęby,
Niby olbrzymy stoją leśne dęby.
Przez bojowisko wieków dawnej chwały
Przeciąga wolno orszak duchów biały,
Podniósł się, krokiem pewnym w niebo dąży...
Przodem pan hetman, bułatny, chorąży,
Dalej husarze, pancerni, kozactwo,
I całe ojców pospolite bractwo
Od ambon, krzeseł, brcni i buńczuków
Wraca z nocnego przeglądu od wnuków;
Nad nimi w złocie ranna zorza wschodzi
I chór aniołów śpiewa:
„Bóg się rodzi!“
Lecz kto, kto, w nocnej zasłuchany ciszy,
Całą potęgę tego głosu słyszy?
Anielskiej pieśni kto pojmie znaczenie?

Słuchajcie! Słońca gdy strzelą promienie,
Gdy się w poranku niebo wypogodzi
Pieśniarzy polskich doleci wąs pienie:
„Nam Bóg — wam Polska się rodzi!“

Lwów 20 Grudnia 1857 r.

Mieczysław Romanowski.

Magnetyzm zwierzęcy i Jasnowidzenie.

przez

Dr. Jana Stellę Sawickiego.

(Ciąg dalszy).

Stoliki jednak wirują po nałożeniu rąk na nie, co widziałem na własne oczy. Należało sprawdzić fakt i objaśnić go. Po powrocie więc do domu, zaprosiłem gospodynię moją, gospodarza i dwoje jej dzieci i zasiedliśmy przy okrągłym stoliku. Każdy położył mały palec lewej ręki na mały palec prawej ręki sąsiada. Po półgodzinnem oczekiwaniu stół zaczął poruszać się w lewą stronę; przełożyliśmy małe palce odwrotnie, a po chwili stół zaczął kręcić się w przeciwną stronę.

Jak rzecz tę objaśnić?

Jeżeli założymy nogę na nogę siedząc, zobaczymy, że za każdem uderzeniem tętna, noga podskakuje w górę w skutek uderzenia każdej nowej fali krwi dążącej do dolnej kończyny. Toż samo dzieje się z rękami, tylko trudniej to zauważać. Nic więc dziwnego, że przy pewnem położeniu palców rąk, jest większy napór w jednę stronę stołu, a dodawszy do tego nieustanne drgania rąk w jednym kierunku, otrzymamy ruch stołu w tym kierunku, gdyż palce nie ślizgają się po politurze. Przy przełożeniu palców odwrotnem, stół musi obracać się w przeciwną stronę. Dla lepszego przekonania się o sprawiedliwości tego domysłu, nakryłem stół serwetą i ręce położyliśmy na niej tak samo jak poprzednio. Serweta kręciła się, lecz stół pozostał nieruchomym.

Zagadka więc kręcących się stolików została rozwiązaną: połóżcie serwetę na stoliku a mebel ten taki rozumny, iż mógł wystukiwać całe mowy i uczone sentencje, pozostanie nieruchomym.

Wkrótce potem przybył do Genewy p. Jung, znany wywoływacz duchów. Pan Jung nie chciał dawać przedstawień publicznych lecz zgodził się pokazać swą cudowną siłę w domu prywatnym. Nasamprzód zmniejszył płomienie lamp o tyle, że w pokoju zapanował zmrok. Następnie usiadł wśród zebranych. W tej chwili usłyszeliśmy pukanie jakieś około nas w powietrzu; na zadane pytania duchy odpukiwały według alfabetu, w którym liczba odpowiadała zwykłemu miejscu litery. P. Jung siedział skrzyżowawszy ręce na piersiach zupełnie spokojnie, a duchy wypukiwały odpowiedzie na zadane pytania. Nie widząc żadnego ruchu ze strony tego medjum, sądziłem, że to się dzieje za pomocą brzuchomowstwa. Przypuszczenie moje było jednak mylnem. Znany florentyński fizjolog, profesor Schiff, objaśnił to w bardzo prosty sposób, pokazawszy, iż w pewnem położeniu nogi, mięśnie przyczepione do rzepki w kolanie, mogą tę kość usunąć w bok; przy zwolnieniu natężonych mięśni, rzepka wpada na swoje miejsce i uderzając w dwie sąsiednie kości, wydaje odgłos podobny do pukania. Przy pewnej wprawie, można przez szybkie odciąganie stykających się powierzchni kości na obydwu nogach, ludzić otaczających odgłosami w powietrzu. Gdy sztukę Junga powtórzył jakiś nowy wywoływacz duchów przed Schiffem, profesor znając dokładnie anatomję mięśni, ułożył mu nogi w takiem położeniu, iż działanie odciągające mięśni stało się niemożliwem i duchy — pukać przestały.

Pukanie więc duchów ma takież naturalne objaśnienie jak i wirowanie stolików.

W tym roku dzienniki spirytystyczne, to jest zajmujące się rozmową z duchami i spisywaniem ich odpowiedzi, doniosły o nowym wynalazku, a mianowicie o możności widocznego wywoływania duchów i zdjęcia z nich fotografji. Za cenę 20 franków, można było mieć portret nieznanego ojca lub matki, a medjum zdejmujące portret, żądało tylko przysłania fotografji tego, który żądał mieć ten nowy dowód możności komunikowania się z innym światem. Niedawno temu wyczytaliśmy we francuskich dziennikach, że policja paryska dowiedziawszy się o takiem wyzyskiwaniu łatwowiernych, zrobiła rewizję w pracowni i znalazła tam mnóstwo manekinów i przyrządów do przedstawiania nieboszczyków, a sąd skazał winnych oszustwa do domu poprawy.

Zdawałoby się, że wywoływanie duchów powinnoby ustać. Możnaby sądzić, iż wiara w stosunki ze światem nadzmysłowym, jest szczególnym przywilejem klas nieoświeconych? Ale gdzie tam! Do dziś są jeszcze poczciwi ludzie nie chcący przekonać się, iż są oszukiwani, a istniejące dzienniki i pisma spirytystyczne prawie w każdym kraju świadczą, iż są jeszcze ludzie, ciągnący dalej smutną zabawkę z duchami siedzącemi w stolikach i w stołowych nogach.

W roku 1866 przybył do Genewy sławny magnetyzer p. Lafontaine z jasnowidzącą, i zaczął dawać przedstawienia publiczne tak zwanego magnetyzmu zwierzęcego. Wprowadzał on do sali dziewczynę mającą dwadzieścia lat i sadzał na krześle przed widzami; następnie robił kilka pass magnetycznych, czyli pociągnięć ręki w powietrzu nad nią i dziewczyna wpadała w sen magnetyczny, oczy jej się zamykały, członki sztywniały, a czułość zupełnie znikała. W takim stanie p. Lafontaine przebijał jej ręce długiemi igłami na wskróś, zatykał igły w twarz, w nos, w czoło pod paznokcie — a śpiąca nie dawała najmniejszego znaku bolu. Ja sam wyciągnąłem igłę podobną, którą ręka była przebita i przekonałem się,* że to nie było omamieniem, bo krew się sączyła z ranek. Po tej pierwszej próbie p. Lafontaine zbliżył się do śpiącej, ruchem wachlarzowym ręki powiał na jej ręce, piersi i nogi, a natychmiast członki straciły swą poprzednią sztywność. Potem kazał chorej wstać. Ta wstała. Kazał iść do drugiego pokoju — poszła z zamkniętemi oczyma i krokiem niepewnym. Magnetyzer stojąc z tyłu, ruchem ręki to wstrzymywał idącą, to zmuszał ją do cofnięcia się, to do zwracania się w bok. Potem przywołał ją znowu na środek sali i kazał odpowiadać na zadane pytania w różnych językach, gdyż jak powiadał, ma ona we śnie magnetycznym dar rozumienia nie słów, lecz myśli pytającego. Jasnowidząca odpowiadała tylko po francusku. Na zapytania po włosku, niemiecku i angielsku

dawała odpowiedzi bardzo górnym stylem, lecz dość dorzeczne, ale jeden Anglik przybyły z Indyj przemówił do niej po indyjsku i spiąca musiała wyznać, że nie rozumie. Piszący przemówił do niej po żmudzku: „Isz kur Tamsta esi“? Jasnowidząca, po długim namyśle odpowiedziała, że nie rozumie. Magnetyzer doznawszy tego nieprzyjemnego zawodu, objaśnił nam, że nie zawsze ma ona usposobienie do zgadywania myśli, lecz że czasami może czytać listy zapieczętowane, oznaczać godziny, które pokazuje zegarek położony na jej dołku piersiowym, przepowiadać przyszłość, przenikać przestrzenie, objaśniać niebiańskie, z tamtego świata pochodzące rzeczy, urządzenie nieba, piekła i stan duszy po śmierci. Pan Lafontaine, żeby przekonać o zupełnej nieczułości jasnowidzącej, otwierał jej oczy i trzymał przed nią dwie świece — źrenica nie zwężała się, jak to zwykle się dzieje z czuwającymi, strzelał nad uchem z pistoletu, trzymał kilka minut pod nosem jej amoniak — spiąca ani drgnęła.

Ostatni akt przedstawienia zakończył się wprowadzeniem w zachwyt dziewczyny za pomocą muzyki. P. Lafontaine zaczął grać na fortepjanie. Twarz spiącej rozjaśniła się, uśmiech zaigrał na niej, oczy i usta przybrały wyraz namiętny, a wszystkie ruchy ciała nieustannie zmieniające się, pokazywały, jaką roskosz spiąca czuje pod wpływem harmonijnych dźwięków. Na tem skończyło się przedstawienie.

Pan Lafontaine zaproponował obecnym, że kto chce wypróbować siły swej magnetycznej, może wziąć do siebie jego jasnowidzącą na godzin kilka za 80 franków. Hr. Z. bawiący wtedy z żoną w Genewie, chcąc się przekonać naocznie i doświadczyć swych magnetycznych zdolności, zaraz nazajutrz wziął dziewczynę do siebie i powtórzył to samo, co i p. Lafontaine robił. Dla niego więc magnetyzm zwierzęcy przedstawił się jako rzecz istniejąca, prawdziwa i niepodlegająca zaprzeczeniu.

Dla mnie jednak to nie wystarczało. Już w czasie przedstawienia i odpowiedzi spiącej na różne zapytania, widziałem jak się zawiódł magnetyzer w swych oczekiwaniach, lecz nie chcę go posądzać o oszukaństwo, tylko o łudzenie się tak samo, jak wszyscy byliśmy złudzeni. Przywykłszy do aksiomatu, że do widzenia oczu, — a do słyszenia uszu potrzeba, i że zmysły mają pewną granicę, której przekroczyć nie mogą, nie wierzyłem w czucie po za naturalnym obrębem zmysłów, ale za to wierzyłem, że nikt widzieć nie może przyszłości, cudzych zgadywać myśli, z Europy widzieć Amerykę, czytać zapieczętowanych listów. Lecz jak objaśnić tę nieczułość spiącej, jak objaśnić niezmierną czułość jasnowidzącej na ruchy ręki magnetyzera, którego ona nie widziała, a w pokoju nigdzie nie było zwierciadła, bo na to zwróciłem uwagę?

Żyjąc w przyjacielskich stosunkach ze znanym przyrodnikiem prof. Edwardem Claparède, chciałem zasięgnąć opinji jego o tem co widziałem. Claparède widział już podobne przedstawienie, więc tak mi odpowiedział: „Dans tout il y a du charlatanisme, mais en détail il y a quelque chôse de vrai.“

Zacząłem więc czytać wszystko, co tylko napisano o magnetyzmie zwierzęcym za i przeciw niemu. Dowiedziałem się, że Akademja francuska w trzecim dziesiątku bieżącego stulecia zadawała sobie pracę i podała pewną liczbę takich przypadków jasnowidzenia naukowej próbie, lecz przekonała się, że to było oszukaństwo albo złudzenie. Taż sama Akademja w 1857 roku naznaczyła nagrodę 3 tysiące franków temu, coby przez duks czytał i nikt nie otrzymał nagrody. W Genewie, umyślnie w tym celu mianowana komisja naukowa robiła próby z panem Lassaigne i panią Prudence Bernard, sławną jasnowidzącą z Paryża. Jednak za użyciem odpowiednich środków ostrożności w celu zapobieżenia oszustwu ustawało jasnowidzenie. Wszystkie objaśnienia jasnowidzącej były widocznie fałszywe, albo tak niejasno wypowiedziane, że nie miały żadnego sensu.

Wyczytałem w rocznikach sądowej medycyny liczne wypadki, które z powodu oszustwa i nadużyć jasnowidzących były powodem procesów karnych.

Sławny jasnowidzący Aleksis w Paryżu, utrzymywał ajentów we wszystkich hotelach, którzy mu donosili o stosunkach przyjeżdżających cudzoziemców. Ludwika Braun, znana jako „cudowna dziewczyna“ z ulicy Schifferstrasse w Berlinie, ściągająca do siebie tysiące osób i tysiące talarów, którą nawet wołano do przywrócenia zwroku ociemniałemu królowi, została w 1853 r. wskutek opinji fakultetu medycznego skazaną przez sąd przysięgłych na rok do domu poprawy jako oszustka, której całe mniemane jasnowidzenie było zręcznym podstępem.

Nie chcąc jednak polegać na cudzem zdaniu, chciałem sam się przekonać co w tem wszystkiem jest prawdą, a co złudzeniem. Do doświadczeń w tym względzie człowiek nie mógł być odpowiednim, bo mógł oszukać, mógł mówić to czego nie czuł, mógł zażartować ze mnie. Wziąłem się więc do psów i kotów, i całemi godzinami magnetyzowałem je robiąc magnetyczne pasy — ale napróżno! Pies zasnął ze znudzenia, a kot po półgodzinnej cierpliwości podrapał mnie i uciekł!

Problemat więc nie został dla mnie rozwiązanym w tym roku. Wkrótce wypadki zmusiły mnie poświęcić się studjom medycyny we francuskim uniwersytecie w Strasburgu. Ze wszystkich chorób najwięcej interesowały mnie choroby nerwowe. Trzy lata pracowałem na klinice kobiecych chorób, trzy lata badałem objawy nerwowych zaburzeń, trzy lata obserwowałem i porównywałem, a sprawa magnetyzmu zwierzęcego stała się dla mnie jasną. Nim jednak przystąpię do tego przedmiotu, muszę zwrócić uwagę czytelników na rolę, którą odgrywają moralne wpływy na fizyczny stan naszego ciała, gdyż to objaśni niezmiernie wiele tajemnic i tak zwanych cudów.

Siła moralna nieraz nabiera takiej potęgi, że może zużyć, a nawet zniszczyć materję z której powstała, lecz z drugiej strony, jak włócznia Achillesa może uzdrowić rany przez siebie zadane i uratować życie. Dla tego też w medycynie leczenie moralne powinno grać taką samą rolę jak leczenie fizyczne. Któż nie wie, że wiara i nadzieja, poświęcenie i miłość, szczęście i radość z tryumfu idei lub kierunku jakiejś sprawy bardzo nas obchodzącej dają zdrowie; wtedy gdy strach, nienawiść, zazdrość, i pożądliwość osłabiają człowieka i nieraz prowadzą go do grobu. W sobie więc samym, w swem sercu i umyśle, w swych namiętnościach człowiek nosi źródło długowieczności lub krótkiego życia.

Pod wpływem wyobraźni naprzykład człowiek może stać się obłąkanym, szaleńcem, widzieć rzeczy przyszłe; wyobraźnia wprawia w zachwyt i uniesienie, obudza wiarę w cuda i przepowiednie, jest źródłem przewidzeń i omamień, może uratować życie człowieka lub zabić go. Komuż nie wiadomo, że bojaźliwe osoby w czasie cholery najczęściej jej ulegają i że lekarze najwięcej wystawieni na zarazę, rzadko chorują bo nie lękają się choroby. Strach przed chorobą iześrodkowanie myśli na organ, który uważa się za chory, może sprowadzić tam napływ krwi i rozwinąć chorobę. Znane są przykłady, iż młodzi studenci medecyny bojący się choroby serca lub pruchnienia kości kręgosłupa, dostawali bardzo dolegliwego bicia serca lub osłabienia nóg i mrówienia paralitycznego.

W historji papiestwa czytałem iż Sykstus, nie pamiętam który, wezwał cygankę, żeby mu wywróżyła przyszłość. Cyganka powiedziała papieżowi, że umrze od muchy. Od tego czasu Ojciec święty uciekał przed tym tak niewinnym owadem; ustanowiono urzędników w Watykanie, których zadaniem było wybijanie much w pokojach gdzie miał przesiadywać papież; lecz raz pijąc mleko poczuł w gębie muchę która wpadła do napoju. Przestrach jego był tak wielki iż upadł z krzesła i umarł.

W 1750 roku w Kopenhadze lekarze chcąc wyprobować wpływ wyobraźni, uprosili żeby karę jednego przestępcy skazanego na ćwiartowanie złagodzono na śmierć przez spust krwi. Przestępcę z zawiązanemi oczyma wprowadzono do pokoju gdzie miał umrzeć; tam go posadzono w krześle, obnażono mu ręce i nogi, a potem mocno ukłuto w skórę i otworzono kurek od naczynia napełnionego wodą. Płyn wyciekający udawał wylewanie się krwi z żył. Wkrótce skazany zemdlał, potem wystąpił zimny pot na nim, a w dwie godziny i pół od początku doświadczenia umarł w konwulsjach, chociaż ukłucia były zupełnie niewinne i nie krwawiły nawet.

(C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

DR. Z. ROŚCISZEWSKIEGO.

VII.

JESZCZE O RYBACH.

,,Rozumie ludzki! Tyś mały przed Panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni;
Świat cię niezmiernym zowie oceanem,
I chce ku niebu na twej wzlecieć toni.“

Mickiewicz.

Rzućmy morze na chwilę, by przejść do słodkich wód mieszkańców! I tu wiele przedstawi się nam obrazów, które niczem morskim nie ustępują, wiele istot, których życie nie mniej nas poucza! — *Szczupak* (esclucius), którego każda z naszych czytelniczek po okrągławo-podłużnem ciele, pokrytem drobną łuską mocno w skórze osadzoną napewne pozna — to rekin wód słodkich! Żarłoczność jego nie zna granic! Szeroko rościęta i silna paszcza jego, której nietylko dolna szczęka dłuższa od górniej, wielkiemi jest opatrzona zębami, lecz na całem podniebieniu i kości międzyszczękowej, jak las gęsto zasiany, tak tu drobne wyrastają ząbki, wybornem jest do miażdżenia narzędziem. To też jak rekin wód morskich nie znając wyboru i apetytu, wszystko co napotka rozdziera i pożera, tak szczupak w słodkich wodach stałego lądu postrachem jest dla wszystkich tych wód mieszkań-

ców, dla młodych nawet swoich współbraci, dla dzieci własnych i ich matek!

W pierwszym roku swojego rozbójniczego żywota, nie przechodzi on wzrostem ośmiu lub dziesięciu cali, lecz w następnych za to latach rośnie i wzmaga się w siły gwałtownie, tak, iż dochodzi często do ośmiu stóp długości. Willowghbi, angielski naturalista z XVII stulecia, opisuje szczupaka, którego waga do 43 funtów dochodzić miała. Lecz nadewszystko ciekawą jest historja szczupaka z Kaiserslautern. W roku 1497 złapano w Kaiserslautern w Palatynacie szczupaka, którego długość dziewiętnaście stóp wynosiła a waga 450 funtów. Dotychczas jeszcze w pałacu tego miasta widzieć można obraz przedstawiający tę rybę, a w Manheim jej szkielet. I cóż sądzisz czytelniku o wieku tego kolosa wód słodkich, dla którego nawet poważne kroniki rodzinnego miasta się otwarły, aby między innemi, historyczną wartość mającemi wypadkami zamieścić i to zdarzenie, dla zoologji bardzo ważne? Niektórzy autorowie chcą widzieć w nim staruszka aż 235 letniego. Co za wiek poważny! Złowiony w 1262 r. przez Frydryka Barbarossę, życiem i wolnością miał być obdarowany, a wpuszczony jego ręką do stawu, aż do dnia powtórnego swojego pojmania w 1497 r. w nim pozostawał. Czy sąd jest trafny, nie rozbierajmy, niczem bowiem obalić go nie jesteśmy w stanie, a gdybyśmy nawet przypuścili, iż połowę tu fantazja nadrobiła, to jeszcze pozostanie nam szczupak, którego wiek dowodzi, że w zupełnej swobodzie i przy obfitości pokarmu mogą ryby rzek i stawów naszych dochodzić najmniej stu lat życia!

A *łosoś zwyczajny*, czyli pospolity (Salmo salar) lub *węgorz rzeczny* (Anguilla fluviatilis) czyż życiem swojem mniej nas zadziwiają, niż morskich przestworzy mieszkańcy, czy budową swą i zręcznością ustępują czem morskim rybom? Łososie są jak rybki złote dowodem, że medium, że świat, w którem żyje zwierzę, najbardziej wpływa na rozwój, na sposób życia zwierzęcia. Łosoś, Lamarcka i Darwina zdanie o przystosowywaniu organów do pewnej czynności a ztąd zmiany w budowie w początku nieznacznej, najwyraźniej udowadnia! Żyjący w rzece dwa lub trzy lata, dosięga zaledwie ośm cali długości, gdy zaś młody z morskiej powraca wycieczki, choćby niedłuższej nad dwa miesiące, już waży pięć funtów! To też jakby przeczuwając, iż w morzu znajdzie stosowne dla rozwoju swojego ciała medium, w rzece składa ikrę, a sam spieszy do morza i tam obficiej zastawioną mając ucztę, wolniejszą przestrzeń do pływania, wzmaga się w siły i rośnie, tak, iż po drugiej dwumiesięcznej wizycie u swych współbraci w morzu, nie rzadko dosięga wagi 15 — 18 funtów, a za trzecią swą wędrówką lub czwartą dorasta 5 stóp długości i 40 funt. wagi; gdyby zaś nie posłuchał głosu instynktu i przez całe swe życie w rzece pozostawał, byłby zawsze małą ośmiocalową rybką, którejby waga 1go funta nie przenosiła.

Łososie odbywają swe wędrówki do morza i napowrót w wielkich gromadach, mając na czele swych samców już doświadczonych, którzy im jako przewodnicy służą. Grożącego sobie niebezpieczeństwa zręcznie unikają przez silne skoki nad powierzchnię wody, do czego im muskularny ogon wybornie pomaga. Jeżeli po drodze znaczny spotkają wodospad, zginają wówczas kolumnę swą pacierzową, jakby giętką ze stali sprężynę, a potem nagle wyprężając się, silnym ogonem uderzają o wodę i jak piłka gumelastyczna od twardej podłogi odskakuje, tak łosoś od powierzchni wody odskakując, rzuca się tak potężnie, iż wysoką na 15 — 20 stóp przeszkodę z łatwością przesadza. Samica łososia zawsze się różni od samca krótszą paszczą i więcej w sinobłękitne wpadającym grzbietem.

Węgorz rzeczny, który zwykle w wód błotnistych mule mieszkanie dla siebie obiera, ma grzbiet czarny, a spód ciała szaro-żółtawy; ten, który w czystej wody piasku się zagrzebuje, grzbiet ma ciemno-zielony, niekiedy brunatno pręgowany, spód zaś ciała lśni się srebra blaskiem. Obydwie odmiany w żarłoczności nie ustępują szczupakowi, mają jednak względy dla swojego potomstwa.

Młody węgorek zaledwie kilkadziesiąt godzin życia mający, już śmiało puszcza się na łupiezkie wyprawy, a szczękami swemi uzbrojony, tak niemi zręcznie włada jak zaprawiony w boju stary ojciec jego. Sposób życia i obyczaje węgorza są odpowiednie jego budowie. Z łatwością płynie przed siebie jak w tył; talentu jednak tego używa tylko wtedy, gdy przed napadem wydry, żurawia, czapli, lub bociana musi uchodzić, zwyczajnie zaś w mule ukryty się wije. Żyje we wszystkich prawie wodach słodkich, bieżących i stojących z wyjątkiem może rzek wpadających do morza Czarnego i Azowskiego.

Do dziś dnia jeszcze sposób rozmnażania się węgorzy mgłą tajemnicy jest pokryty. Sławny ichtyolog Valenciennes podaje kilka ciekawych szczegółów, tyczących rozwoju tej ryby, nie zrywa jednak zasłony zupełnie. Domysł jest powszechny, że węgorze nie składają jaj (ikry), lecz noszą je wewnątrz swojego ciała, aż dopóki z nich młode zupełnie rozwinięte rybki się nie wyklują. Węgorze lubią wędrówki. Z rzek, stawów, jezior i bagien wędrują dla tarła do morza, gdzie rodzą w niezliczonem mnóstwie młode i wraz z niemi do rzek powracają. Często wśród księżycowej nocy, znaleźć je można daleko od brzegów wód na wilgotnych lub zroszonych łąkach, gdzie zwinnie jak wąż się czołgając, przechodzą z rzek do jezior, lub stawów i odwrotnie, po drodze młodemi roślinkami grochu się żywiąc. Młode po wykluciu się, nawzajem się oplatają, tworząc małe kłąbki, z których dopiero po kilku dniach się wyswobadzają i spuszczają na dno, gdzie czepiają się mułu. Z początku żywią się owadami i ich gąsienicami, później z wzrostem ciała wzrasta i odwaga tak, iż na karpie a nawet na płynące kaczki się rzucają, które zręcznie za nogi uchwyciwszy, ciągną z sobą na dno i tam dopiero swobodnie je spożywają.

Dosyć już dawszy przykładów z życia ryb, tak morskich jak rzecznych, a nie chcąc i nie mogąc dłużej nudzić czytelnika opisem kształtów tych wód mieszkańców, ośmielę się poruszyć zajmującą bardzo kwestję z życia tych zwierząt, której naumyślnie dotąd nie poruszałem, by po dokładnem o ile to być mogło przedstawieniu, ze wszech stron życia tych istot, zrozumialszą być mogła. Kwestją tą jest m i ł o ś ć ryb.

Jeżeli człowiek łączy ze swą miłością wszystkie bujnej wyobraźni marzenia, jeżeli lubuje się tą słodką dla siebie bijących serc zgodnością, której wdzięk go upaja i przenosi w świat nie ziemski, nie tutejszy, lecz w ten, w którym o ciele i jego wygodach nic nie wiadomo, to zimna ryba, czy to pod ostrem podniebiem północy, czy pod gorącej strefy palącem słońcem, nigdy nawet na chwilę nie rozgrzeje się taką miłością. Gdy ptak, tak podobny do ryby sposobem życia, jakeśmy widzieli, całą swą zmyślność i inteligencję zużywa, by swej ukochanej samiczce się podobać, wszystkiem czem może stara się na jej zmysły oddziaływać i w końcu—podbiwszy jej serduszko, na dłuższy czas najwierniejszym jest jej kochakiem, to ryba, mając tylko cel materjalny, którym jest rozmnażanie się, na tym jedynie ogranicza się przedmiocie. A w miarę jak który gatunek liczniejszą wydaje rodzinę, to i węzły miłości są luźniejszemi, a w końcu podzielone nikną zupełnie; a i rozmnażanie staje się coraz bardziej czynem machinalnym, mniej mającym stosunku z istotą przeciwnej płci, zupełnie cielesnym, do którego nic moralnego się nie mięsza a w miejsce roskoszy, są tylko jej męty!

W ogólności wszystkie stworzenia wodne, lub dłużej mogące w wodzie przebywać, n. p. mięczaki, zdolności umysłowe i uczucia na niskim stopniu rozwoju posiadają, a za to płodniejsze są od innych i więcej pokarmu potrzebują. Dzieje się to i z rybami. Im który gatunek mniej okazuje przywiązania nawzajem pomiędzy płciami, tem jest płodniejszym i przeciwnie, ryby, którym mniejsza płodność dostała się w udziale, u których jaja wylęgają się w łonie matki, tem więcej miłością zbliżają się wzajemną.

Chociaż przyroda nie poskąpiła rybom naturalnego ich wdzięku, szczególnie gatunkom podzwrotnikowych i podrównikowych okolic, w epoce bowiem zalotów miłośnych (tarcia) przyozdobiła je nie mniej wspaniałemi barwami od ptaków, to jednak ryba nie czuła na wszelkie piękna uczucia, rzadko używa tej broni, tak ważnej w taktyce kampanji miłośnej u ptaków i motylów. Zwyczajnie widzimy, jak trą się ryby na wiosnę, w bliskości brzegów i w wodach spokojnych na piaszczystych mieliznach, pod ciepłemi słońca promieniami, lecz jak rzadko spostrzegamy, aby igrające chciały nawzajem sobie się podobać. Zdaje się niekiedy, że pomiędzy rybami jest dwa razy więcej samców niż samic, a to w celu, aby rozmnażenie potomstwa pewniejszem było, to znów przeciwnie, jak n. p. węgorza morskiego (Anguilla vulgaris) samce tak rzadko widzieć się dają, iż przypuszczano, że jak mszyc samice, rozmnażać się mogą same (Parthenogenesis, czyli dziewiczorodztwo). U wielu gatunków nie widzimy żadnej styczności samca z samicą, żadnego tarła, obie płci żyją osobno, zupełnie się nie znając, samica składa w bezpiecznem miejscu swe jaja, ikrę, a samiec później, czy to przypadkiem, czy też z rozwagą ciska swój mlecz na nie, spełniając tym sposobem szczytne zadanie ojca!

Jeżeli się zastanowimy, ile to miljonów tych wód mieszkańców w podobny sposób powstaje, nie znając ojca i matki, nie będąc wynikiem miłości rodziców, lecz tylko dziełem instynktowej czynności, z konieczności zdumiewać się nam przyjdzie nad niewyczerpaną płodnością natury.

Śledź średniej wielkości przeszło dziesięć tysięcy jaj znosi, szesnasto-calowy karp niesie ich aż 342.000; jesiotr, którego ikrę pod nazwą kawioru zjadamy, może jeden dostarczyć nam aż 119 funtów tego przysmaku, w której to ilości przeszło półosma miljona zarodków przyszłego jego potomstwa spoczywa! Gdyby to wszystko wyłądz się miało, ktoby zdołał wyżywić to mnóstwo istot tych, zasiedlających wodne przepaście,

gdzie mogłyby się pomieścić na stosunkowo małym dla nich globie?! To też „Bóg dał, Bóg wziął.“ Natura ma środek przeciwko bezmiernemu rozmnażaniu się ryb, tak w nich samych, jak w innych zwierzętach, do których człowieka policzyć potrzeba – ma środek również skuteczny w siłach swych własnych. Same ryby pożerają jaj swych współbraci nieprzeliczone ilości, ludzie, ptaki, zwierzęta wodne, susze, burze i trąby morskie niszczą niemniejszą ich ilość! Z drugiej znów strony natura czuwa szczególnemi sposoby nad zachowaniem tworów swojej ręki, nad umiarkowanem działaniem wspomnianych sił niszczących.

Ikra szczupaka ma skórę, broniącą ją od soku trawiącego żołądka kaczki i innych ptaków, które ją połykają; połknięta przez nie i przeniesiona może w dalekie strony, wychodzi nieuszkodzona, a tym sposobem ptak samochcąc przyczynia się do zarybienia tych wód przestworzy, od których ryba stałym lądem oddzielona, nie mogłaby się do nich dostać.

Nie dziwmy się więc żarłoczności wielu ryb gatunków, ta bowiem daje im materjał do wytworzenia z siebie tej nieprzeliczonej liczby potomstwa. Im który gatunek więcej pokarmu spożywa, tem więcej za to wydaje młodych, które znów najczęściej podlegają zniszczeniu. Tak więc ta chciwość, niepohamowana żarłoczność, ten apetyt, chęć ciągłego jedzenia, pożerania swych współbraci objaśnia się żądzą instynktową odrodzenia się w potomstwie, a ta tylko żądza jest głównem tłem miłości ryb!

Po zbudzeniu.

Cudownie marzyłam, cudownie!
Nad życia przepaścią sen złoty,
I serce tak biło gwałtownie,
Uczuciem niebiańskiej tęsknoty:

Że słońce kochałam wiosenne,
Co ziemię do życia budziło.
Bo było tak piękne, promienne,
Jak bóstwo co w duszy mej żyło.

I w niebo wśród nocy gwiaździste,
Wzlatały me ciche westchnienia,
Bo było tak jasne i czyste,
Jak moje najpierwsze marzenia!

I skały, strumienie i bory—
I srebrne szumiące kaskady,
I ciche majowe wieczory,
I księżyc zachwycał mnie blady!

I ziemia mi harfą się zdała
Stworzoną dla tego jedynie,
By wiecznie do wtóru dźwięczała
Piosence, co z serca wypłynie.

I miałam zaklęte ogrody,
W nich uczuć lilje i róże,
Nad niemi blask jaśniał pogody,
I nigdy nie miały przyjść burze.

Myśl nigdy na głogi i ciernie
Skrwawionem nie miała paść czołem —
A wiara do zgonu mi wiernie
Przewodnim być miała aniołem!

Nadzieja, nie widmem zwodniczem,
Nie pruchnem w ciemności świecącem,
Lecz bóstwa jaśniała obliczem,
Do piękna i prawdy wiodącem!

A miłość, nie szału dziecięciem,
Nie płochą zabawką motyla,
Lecz świętem być miała zaklęciem
Co niebo ku ziemi przychyla.

Cudownie marzyłam, cudownie!
Dziś jeszcze z rozkoszą wspominam,
Gdy serce, co biło gwałtownie,
I zdradne marzenia — przeklinam!

Maj 1874. *Marja B.*

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

Rozdział XVI.

(Ciąg dalszy.)

(Tajemnica niewyjaśniona. — Pierwsze słowa nieznajomego.— Lat dwanaście na wysepce! — Wyznania urywane! — Ucieczka. — Ufność Cyrusa Smitha. — Budowa młyna. — Pierwszy bochenek chleba. — Akt poświęcenia. — Uczciwe dłonie!)

Tak! nieszczęśliwy ten płakał! Zapewne wspomnienie jakieś przemknęło przez jego duszę, i według słów Cyrusa Smitha, łzy przemieniły go na nowo w człowieka.

Osadnicy pozostawili go czas jakiś samego na terasie, oddalili się nawet cokolwiek, tak by się uczuł zupełnie wolnym; lecz on nie myślał wcale korzystać ze swej wolności, i Cyrus Smith uznał wkrótce za właściwe, odprowadzić go napowrót do Pałacu Granitowego.

We dwa dni po tem zdarzeniu objawiał nieznajomy chęć brania powoli udziału we wspólnem życiu. Widocznem było że słyszał, że rozumiał wszystko, lecz niemniej widocznem i to, że z dziwną uporczywością wstrzymywał się od wszelkiej rozmowy z osadnikami; pewnego wieczora bowiem, Pencroff, przyłożywszy ucho do drzwi jego izby, usłyszał jak z ust jego wymknęły się następujące słowa:

— Nie! ja! tu! przenigdy!

Marynarz zaniósł te słowa towarzyszom.

— Jest w tem jakaś bolesna tajemnica! rzekł Cyrus Smith.

Nieznajomy począł używać narzędzi rolniczych, pracował także w ogrodzie. Nieraz się zdarzało, że przerywając robotę stał jakby skupiony cały i zatopiony w soibe. Lecz inżynier zalecił szanować samotność, której nieznajomy zdawał się pragnąć. Gdy który z osadników zbliżył się do niego, usuwał się na bok, i ciężkie łkanie rozpierało mu pierś, jakgdyby pęknąć miała!

Czy to wyrzuty sumienia tak go przygnębiały? Przypuszczenie to nasuwało się mimowolnie i Gedeon Spilett pewnego dnia, nie mogąc się wstrzymać, rzekł:

— Mnie się wydaje, że jeśli do nas nie mówi, to dlatego, że miałby zbyt ważne rzeczy do powiedzenia!

Nie pozostawało jak czekać cierpliwie.

W kilka dni później, było to 3 listopada, nieznajomy, pracując na terasie, zatrzymał się nagle, wypuścił z rąk rydel, i Cyrus Smith, który stojąc niedaleko patrzał nań, ujrzał raz jeszcze łzy w jego oczach. Nieprzezwyciężona litość jakaś pociągnęła go ku niemu, przystąpiwszy, dotknął go lekko po ramieniu i rzekł:

— Przyjacielu mój!

Nieznajomy usiłował uniknąć wzroku inżyniera, a gdy go Cyrus Smith chciał ująć za rękę, odskoczył gwałtownie od niego.

— Mój przyjacielu, rzekł mocniejszym głosem Cyrus Smith, patrz mi w oczy, ja chcę tego!

Nieznajomy podniósł wzrok na inżyniera i zdawał się pozostawać pod wpływem jego, jak magnetyzowany pod urokiem magnetyzera. Chciał uciekać. Lecz w tem zaszła w twarzy jego dziwna odmiana. Wzrok jego miotał błyskawice. Słowa tłoczyły mu się do ust. Nie mógł się dłużej powstrzymać!... Wreszcie, założywszy ręce na krzyż, przytłumionym głosem odezwał się do Cyrusa Smitha:

— Coście wy za jedni?

— Rozbitki, tak jak ty, odparł inżynier, głęboko wzruszony. Przywiedliśmy cię tutaj między twoi bliźnich.

— Moich bliźnich!... Nie mam żadnych bliźnich!

— Znajdujesz się między przyjaciołmi...

— Przyjaciołmi!... moimi przyjaciołmi! zawołał nieznajomy kryjąc twarz w dłonie... Nie... przenigdy... puśćcie mnie! puśćcie!

Po tych słowach uciekł w stronę terasy, i tam stał długo nieruchomy.

Cyrus Smith udał się do swoich towarzyszy i opowiedział im co się stało.

— W samej rzeczy! jest jakaś tajemnica w życiu tego człowieka, rzekł Gedeon Spilett, i zdaje się, że jeżeli powrócił do człowieczeństwa, to drogą wyrzutów sumienia...

— Bóg wie cośmy za człowieka przywieźli, rzekł marynarz. Są w tem jakieś tajemnice. —

— Które będziemy musieli szanować, przerwał mu żywo Cyrus Smith. Jeśli błąd jaki popełnił, odpokutował go srogo, i w naszych oczach jest rozgrzeszonym.

Przez dwie godziny pozostawał nieznajomy samotnie nad brzegiem morza, widocznie pod wpływem wspomnień, które mu całą przeszłość jego wskrzeszały na nowo w pamięci — przeszłość niezawodnie godną opłakania — a osadnicy, nie spuszczając go z oczu, nie przerywali mu tej samotności.

Po dwu godzinach zdarzyło, się iż powziął jakieś postanowienie, i z niem stanął przed Cyrusem Smithem. Oczy miał zaczerwienione od łez wylanych, lecz już nie płakał. Na twarzy jego malował się wyraz głębokiej pokory. Zdawał się lękać, wstydzić, korzyć i oczy miał nieustannie spuszczone ku ziemi.

— Panie, rzekł do Cyrusa Smitha, czy pan i towarzysze pańscy jesteście Anglikami?

— Nie, odparł inżynier, jesteśmy Amerykaninami?

— Ach! to lepiej! szepnął nieznajomy.

— A ty, przyjacielu? zapytał inżynier.

— Jestem Anglikiem, odparł raptownie.

I jak gdyby tych kilka słów było dlań największym ciężarem, opuścił natychmiast wybrzeże, przebiegłszy je wzdłuż od wodospadu aż po ujście Dziękczynnej, w stanie najwyższego wzruszenia.

Poczem mijając Harberta, stanął na chwilę i głosem przytłumionym zapytał:

— Który to miesiąc?

— Grudzień, odparł Harbert.

— A rok?

— 1866ty.

— Dwanaście lat! dwanaście lat! zawołał. Poczem oddalił się raptownie.

Harbert powtórzył towarzyszom swą roz-

*

mowę z nieznajomym, jego pytania i swoje odpowiedzi.

— Ten nieszczęsny utracił już był rachubę miesięcy i lat! zauważył Gedeon Spilett.

— Tak jest! I już dwanaście lat znajdował się był na wysepce do chwili, kiedyśmy go znaleźli! dodał Harbert.

— Dwanaście lat! rzekł Cyrus Smith. A! dwunastoletnia samotność po życiu może zbrodniczem, łatwo może człowiekowi pomięszać rozum.

— Mnie się coś wydaje, odezwał się Pencroff, że ten człowiek nie wskutek rozbicia okrętu dostał się na wyspę Tabor, lecz że go tam osadzono za jakąś zbrodnię...

— Być może, że masz słuszność, Pencroffie, odparł korespondent, a jeśliby tak było, wtedy ci co go zastawili na wyspie, mogą pewnego dnia po niego powrócić!

— I nie znaleść go, rzekł Harbert.

— Ależ w takim razie, ciągnął dalej Pencroff, wypadałoby tam powrócić, i...

— Przyjaciele moi, rzekł Cyrus Smith, dajmy pokój tej kwestji, dopóki nie będziemy wiedzieli, czego się mamy trzymać. Ja sądzę, że ten nieszczęśliwy wiele cierpiał, że ciężko odpokutował swe winy, jakiekolwiek one były, i że chęć wyspowiadania się i wywnętrzenia z wszystkiego pali mu piersi. Nie napierajmy na niego, by nam opowiedział swoją historję! On niezawodnie sam to kiedyś uczyni, a wtedy będziemy wiedzieli jak nam wypadnie postąpić. Zresztą on sam tylko może nas oświecić, czyli posiada więcej niż nadzieję, czyli posiada pewność, że kiedyś będzie mógł powrócić do ojczyzny, o czem ja wątpię!

— Czemu? zapytał korespondent.

— Dlatego, bo gdyby był tego pewnym, że po jakimś oznaczonym czasie odzyska napowrót wolność, byłby był oczekiwał godziny oswobodzenia i nie byłby był rzucał do morza owego dokumentu. Nie, prawdopodobnem jest raczej, że był skazanym na dożywotnie wygnanie na tej wysepce, i że nigdy już nie miał ujrzeć swoich ziomków!

— Jednak jest w tem coś, czego nie umiem sobie wytłumaczyć, zauważył marynarz.

— Cóż takiego?

— Jeżeli ten człowiek już od dwunastu lat znajdował się na wyspie Tabor, to można śmiało przypuścić, że od kilku już lat znajdował się w tym stanie zdziczenia, w jakim go znaleźliśmy!

— To być może, odparł Cyrus Smith.

— A w takim razie musiałby był ów dokument napisać już kilka lat temu!

— Bez wątpienia... a jednak, dokument ten, zdaje się świeżo dopiero napisanym!...

— Zresztą, jak tu przypuścić, ażeby butelka zawierająca ów dokument, kilka lat płynęła z wyspy Tabor do wyspy Lincolna?

— Zupełnie niemożliwem to nie jest, odparł korespondent. Czyż nie mogła już oddawna krążyć w pobliżu wyspy?

— Nie, odparł Pencroff, bo pływała po morzu. Nie podobna nawet przypuszczać, ażeby zostając przez dłuższy lub krótszy czas u brzegu, mogła być powtórnie uniesioną przez morze, całe bowiem wybrzeże południowe najeżone jest skałami, o które byłaby się roztrzaskała niechybnie!

— Tak, w samej rzeczy — odparł Cyrus Smith pogrążony w ciągłem zamyśleniu.

— Oprócz tego — dodał marynarz — gdyby dokument ten już był kilka lat temu napisany, gdyby już kilka lat był zamknięty w butelce, byłby był zbutwiał od wilgoci. A przecież nie był zbutwiałym bynajmniej, owszem znajdował się w zupełnie dobrym stanie.

Uwagi marynarza były zupełnie słuszne, było w tem coś niedocieczonego, dokument bowiem zdawał się świeżo napisanym, gdy go osadnicy znaleźli w butelce. Co więcej określał on położenie wyspy Tabor pod względem długości i szerokości geograficznej z dokładnością, świadczącą o dość rozległych wiadomościach hydrograficznych autora, jakich prosty marynarz posiadać nie mógł.

— Jest w tem, powtarzam raz jeszcze coś niedocieczonego — rzekł inżynier — lecz nie wyciągajmy naszego nowego towarzysza na słowa. Gdy sam mówić zechce, wtedy będziemy gotowi go słuchać!

Przez kilka dni następnych nieznajomy nie wyrzekł ani jednego słowa i nie wyszedł ani razu po za obręb terasy. Pracował nieustannie w ogrodzie bez chwilki wytchnienia, bez chwili spoczynku, lecz zawsze sam, na uboczu. W godzinach objadowych nie wracał do Pałacu Granitowego, pomimo kilkakrotnych zaprosin, i zadowalał się odrobiną surowych jarzyn. Na noc również nie szedł do przeznaczonej dla siebie izby, lecz sypiał na dworze pod klombem drzew, lub w razie niepogody wciskał się w jakie wydrążenie wyżłobione w skale. Żył więc całkiem tak samo, jak wówczas na wyspie Tabor, gdy lasy były jego jedynem schronieniem, i wszelkie nalegania ażeby zmienił tryb życia, były daremnemi, osadnicy jednak czekali cierpliwie. Lecz wreszcie nadeszła chwila, gdy pod nieprzepartym naciskiem sumienia, pomimowolnie prawie, wydarło mu się z ust straszne wyznanie.

Dnia 10. listopada, około godziny ósmej z wieczora, gdy już zmrok począł zapadać, stanął nieznajomy niespodziewanie przed osadnikami zgromadzonymi na werandzie. Wzrok jego dziwnym pałał ogniem a cała postać przybrała napowrót ów wyraz dzikości z dawnych złych czasów.

Cyrus Smith i towarzysze jego stali jakby wryci, widząc go jak pod wpływem strasznego wzruszenia dzwonił zębami jak we febrze. Co mu było takiego? Czy widok bliźnich stał mu się nieznośnym? Czy mu już obrzydło to życie pomiędzy uczciwymi ludźmi? Czy szał bydlęctwa na nowo go opętał? Takby można było sądzić, słysząc z ust jego te urywane, bez związku cisnące się słowa:

— Czemu ja tu jestem?...] Jakiem prawem porwaliście mnie z mej wysepki?... Czy mogą istnieć węzły jakie między mną a wami?... Alboż wiecie kim jestem... com uczynił... dlaczegom był tam... sam jeden? A kto wam powiedział, czy mnie tam nie porzucono umyślnie... czym nie był skazany na to, aby tam zginąć?... Alboż wy znacie przeszłość moją?... Jak wiecie czym nie kradł, nie mordował... czy nie jestem nędznikiem... istotą przeklętą na wieki... godną żyć między dzikiemi zwierzętami... zdala od całego świata... mówcie... jak wiecie?...

Osadnicy słuchali nieszczęśliwego, nie przerywając mu w tych na poły czynionych wyznaniach, które mimowolnie niejako cisnęły mu się do ust. Cyrus Smith chciał go wtedy uspokoić i przystąpił do niego, ale on odskoczył co żywo i zawołał:

— Nie, nie! Jedno słowo tylko... Czy jestem wolny?

— Jesteś wolny, odparł inżynier.

— Więc żegnam was! zawołał i wybiegł jak szalony.

Nab, Pencroff i Harbert pobiegli natychmiast ku lasowi... lecz powrócili sami.

— Trzeba mu dać czynić co zechce! — rzekł Cyrus Smith.

— On już nie wróci nigdy... — zawołał Pencroff.

— Powróci — odparł inżynier.

I odtąd wiele dni upłynęło; lecz Cyrus Smith — byłże to rodzaj przeczucia? trwał niezachwianie w przekonaniu, że nieszczęsny prędzej lub później powróci.

— To ostatni bunt tej nieokrzesanej natury, którą wyrzuty sumienia napadły; ponowna samotność, przejęłaby go strachem i przerażeniem, mawiał inżynier.

Tymczasem rozmaitego rodzaju prace szły dawnym trybem, tak na Wielkiej Terasie, jak i w oborze, gdzie Cyrus Smith zamierzał wystawić folwark. Rozumie się, że nasiona zebrane przez Harberta na wyspie Tabor, zostały troskliwie zasadzone. Terasa tworzyła już obszerny ogród, porządnie odgraniczony, porządnie utrzymywany, który osadnikom nie pozwolił nigdy siedzieć z założonemi rękoma. Zawsze nastręczał podostatkiem roboty. W miarę jak wzrastała ilość roślin warzywnych, trzeba było rozszerzać zwykłe grządki, które powoli przemieniały się w łany, i w inne miejsca przenosić łąki. Ale nie brakowało paszy i w innych stronach wyspy, i onagasy nie potrzebowały się obawiać, aby im ograniczono paszę do skąpych porcyj. Zresztą właściwiej było przemienić całą Wielką Terasę na ogród, ponieważ chronioną była dokoła pasmem głębokich potoków, a pastwisko przenieść po za jej obręb, ponieważ nie potrzeba było ochraniać go przed spustoszeniem czwororękich i czworonogich stworzeń.

Dnia 15. listopada rozpoczęto trzecie żniwo. Przez ośmnaście miesięcy, od chwili gdy zasadzono pierwsze ziarnko, powiększył się znacznie obszar pola! Drugi zbiór wynoszący sześć kroć sto tysięcy ziarn wydał tym razem cztery tysięcy ćwiartek zboża, czyli przeszło pięćset miljonów ziarn! Osada była bogatą w zboże, dość było bowiem zasiać teraz dziesięć ćwiartek, aby co roku być pewnym żniwa, i aby wszyscy, ludzie i bydło, mieli się czem wyżywić.

Ukończono więc żniwo, i drugą połowę listopada poświęcono na wyrób chleba.

W samej rzeczy, zboża było dość, ale nie było mąki, i trzeba było koniecznie postawić młyn. Cyrus Smith mógł był jako siłę poruszającą użyć drugiego wodospadu wpadającego do Dziękczynnej, pierwszy bowiem pędził już młyn foluszowy; po krótkiej jednak naradzie stanęło na tem, ażeby na wyżynie Wielkiej Terasy postawić zwyczajny wiatrak. Budowa jego nie przedstawiała więcej trudności jak budowa młyna wodnego, a z drugiej strony można było być pewnym, że nigdy nie zabraknie wiatru na tej Terasie wystawionej na wiatry morskie.

— Nie wspominając już o tem, dodał Pencroff, że wiatrak rozweseli krajobraz i dobrze się będzie wydawać!

Przystąpiono więc zaraz do dzieła i wybrano stosowny budulec, tak na zewnętrzną klatkę młyna jak i wewnętrzne jego mieszkanie. Kilka dużych głazów znalezionych u północnego brzegu jeziora, dały się obrócić łatwo na kamienie młyńskie, a co się tyczy skrzydeł, to potrze-

bnego na nie płótna dostarczyła niewyczerpana powłoka balonowa.

Cyrus Smith sporządził plan, poczem obrano miejsce na wiatrak, trochę na prawo od podwórka, nad jeziorem w pobliżu urwiska. Cała klatka spoczywać miała na słupie podtrzymywanym grubemi balkami tak, by ją wraz z wewnętrznym jej przyrządem można było obracać podług wiatru.

Praca ta szła raźnie. Nab i Pencroff, którzy wykształcili się już na bardzo zręcznych cieślów, potrzebowali tylko trzymać się modelu wykonanego przez inżyniera. Wkrótce też we wskazanem miejscu wzniosła się okrągła budka, istna pieprzniczka, nakryta szpiczastym dachem. Cztery ramy tworzące szkielety skrzydeł, przytwierdzone zostały silnie zapomocą żelaznych kobli do wału. Rozmaite zaś części wewnętrznego mechanizmu, jako to: skrzynia mieszcząca oba kamienie młyńskie, zwane „łubie" kamień stały i kamień ruchomy, kosz młyński, rodzaj czworograniastego koryta, szerokiego u góry, wąskiego u spodu, którem zboże sypać się miało na kamień, korytko ruchome przeznaczone do regulowania zsypu, z powodu nieustannego klekotu przezwane „gadułą," i wreszcie pytel, który przez przesiewanie oddziela otręby od mąki — wszystko to dało się łatwo sporządzić. Narzędzia mieli dobre a robota nie była trudną, gdyż razem wziąwszy składowe części wiatraka są bardzo proste. Było to więc li kwestją czasu.

Wszyscy członkowie osady pracowali nad budową młyna, i 1. grudnia młyn był gotów.

Pencroff, jak zawsze zachwycał się swem dziełem i nie wątpił wcale o jego doskonałości.

— A teraz, rzekł, abyśmy mieli tylko dobry wiatr, a zmielemy ślicznie nasz pierwszy plon!

— Dobry wiatr, owszem, odparł inżynier, byle tylko nie za dużo wiatru, Pencroffie.

— Ba! tem szybciej obracać się będzie nasz wiatrak!

— Nie trzeba, aby się obracał zbyt szybko, odparł Cyrus Smith. Wiemy z doświadczenia, że wiatrak wtedy miele najlepiej, gdy liczba obrotów, którą skrzydła w jednej minucie dokonują, jest sześć razy tak wielką, jak ilość stóp, którą wiatr przelatuje w jednej sekundzie. Przy średnim wietrze przelatującym dwadzieścia cztery stóp na sekundę, skrzydła wiatraka dokonają szesnaście obrotów na minutę a więcej nie trzeba.

— W samą porę! zawołał Harbert, właśnie też wieje piękny wiaterek od północno-wschodniej strony, pewnie się dobrze sprawi!

Nie było powodu odkładać na później inaugarację młyna, pilno było bowiem osadnikom naszym skosztować pierwszego kawałka chleba na wyspie Lincolna. Więc tego samego dnia jeszcze z rana zmielono dwie do trzech ćwiartek zboża, i nazajutrz, na śniadanie, pojawił się na stole w Pałacu Granitowym wspaniały bochen chleba, może trochę zanadto ciężkiego i zbitego, jakkolwiek był rozczyniony na drożdżach. Żaden z biesiadników nie żałował gęby, a z jakiem ukontentowaniem, łatwo sobie wystawić!

Tymczasem nieznajomy nie wracał. Kilkakrotnie Gedeon Spilett z Harbertem przebiegali las dokoła Pałacu granitowego, lecz ani jego samego, ani śladów jego nie napotkali nigdzie. Niepokoili się tem wszyscy, że się tak długo nie pokazywał. Zapewne, że dziki mieszkaniec wyspy Tabor, nie potrzebował się troszczyć o pożywienie w tak pełnym zwierzyny borze Zachodniej Ręki, lecz czy nie należało się obawiać, że znów powróci do dawnych obyczajów, i że to życie wolne koczownicze wzbudzi w nim na nowo bydlęce popędy? Mimo to Cyrus Smith, wiedziony zapewne jakiemś wewnętrznem przeczuciem, trwał ciągle w mniemaniu, że zbieg powróci.

— Tak jest, on wróci! powtarzał z ufnością, której towarzysze jego dzielić z nim nie byli w stanie. Będąc na wyspie Tabor, nieszczęśliwy ten wiedział, że jest sam jeden! Tutaj wie, że oczekują go istoty jemu bliźne. Ponieważ opowiedział nam już połowę historji swego dawnego życia, nieszczęśliwy ten pokutnik powróci, by nam ją opowiedzieć w całości, i od tego dnia będzie naszym!

Wypadki dowiodły, że Cyrus Smith miał słuszność.

Dnia 3. grudnia opuścił Harbert Wielką Terasę i udał się na południowy brzeg jeziora, dla połowu ryby. Nie wziął ze sobą broni i dotychczas nie widział nigdy potrzeby tej ostrożności, drapieżne zwierzęta bowiem nie pojawiały się wcale w tej stronie wyspy.

Pencroff z Nabem krzątali się właśnie około podwórka, a Cyrus Smith z korespondentem zajęci byli fabrykacją sody, ponieważ zapas mydła już się był wyczerpał.

Nagle ozwał się krzyk!

— Na pomoc! ratunku!

Cyrus Smith i korespondent znajdowali się zbyt daleko, by krzyk ten mógł dojść do ich uszu. Pencroff z Nabem wybiegli czemprędzej z podwórka i puścili się ku brzegom jeziora.

Ale przed nimi jeszcze, nieznajomy, którego nikt się nie mógł spodziewać w tem miejscu, przebył w pław potok Glycerynowy, oddzielający terasę od lasu i wskoczył na brzeg przeciwny.

Tam Harbert spotkał się oko w oko z olbrzymim jaguarem, podobnym temu, który zabity został na przylądku Jaszczurczym. Będąc niespodzianie zaskoczonym, przycisnął się do drzewa, podczas gdy zwierz przysiadłszy do ziemi, już gotował się do skoku... Lecz w tej chwili nieznajomy nie mając innej broni prócz noża, rzucił się na potwora, który ze swej strony zwrócił się ku nowemu napastnikowi.

Krótko trwała walka. Nieznajomy posiadał siłę i zręczność prawie cudowną. Schwycił jaguara za gardło ręką potężną, jakby kleszczami, i nie troszcząc się wcale oto, że zwierz zatapiał mu w ciało pazury, pchnął go nożem w samo serce.

Jaguar padł. Nieznajomy odepchnął go nogą i już chciał uciekać w chwili, gdy osadnicy przybyli na pole walki, lecz Harbert, tuląc się do niego, zawołał:

— Nie! nie! pan tak nie odejdziesz!

Cyrus Smith przystąpił do nieznajomego, który zmarszczył brwi na jego widok. Krew mu ciekła z ramienia z pod potarganej odzieży, lecz on ani zważał na to.

— Przyjacielu, rzekł doń Cyrus Smith, zaciągnęliśmy w obec ciebie dług wdzięczności. Dla ocalenia życia naszego dziecka, naraziłeś twoje własne!

— Moje życie! szepnął nieznajomy. Co ono warte? Mniej niż nic!

— Jesteś raniony?

— Mniejsza z tem.

— Chcesz mi podać dłoń twoję?

I w chwili gdy Harbert chciał uchwycić tę dłoń, która go ocaliła, nieznajomy skrzyżował obie ręce, pierś mu się wydęła, wzrok jego się zaćmił, zdawało się, że chce uciekać; lecz przezwyciężywszy się gwałtem, zapytał głosem szorstkim:

— Coście wy za jedni? i czem chcecie być dla mnie?

Temi słowami po raz pierwszy zapytywał osadników o ich dzieje. Zdawało się prawdopodobnem, że wysłuchawszy je, opowie potem swoje własne.

Cyrus Smith w kilku słowach opowiedział koleje ich losu od chwili gdy opuścili Richmond, jak znosili swą dolę i jakiemi środkami rozporządzali obecnie.

Nieznajomy słuchał z największą uwagą.

Następnie przedstawił mu inżynier wszystkich po kolei, Gedeona Spiletta, Harberta, Pencroffa, Naba i siebie, i dodał, że największa radość, jakiej doznali od przybycia na wyspę Lincolna była, gdy po powrocie swym z wysepki, mogli liczyć jednego towarzysza więcej.

Na te słowa nieznajomy zarumienił się, opuścił głowę na piersi i w całej postaci jego przebijał wyraz wstydu i pomięszania.

— A teraz, skoro nas już znasz, chcesz że podać nam rękę? zapytał Cyrus Smith.

— Nie, odparł nieznajomy głosem przytłumionym, nie! Wy, wy jesteście uczciwymi ludźmi! A ja!... (C. d. n.)

Kronika paryska.

Paryż d. 1. grudnia 1875.

„Jak stoi renta Turecka?" zamiast „Dobry dzień!" lub „Jak się masz?" To dziś pierwsze pytanie jakiem znajomi, przy spotkaniu mieniają się tu z sobą nawzajem. „Jak stoi renta Turecka?" to jest: „Czy jest nadzieja poskromienia tej garstki szaleńców, która nie bacząc na szkodę jaką bunt jej wyrządza lichwiarzom Zachodu, rzuciła się do broni przeciw protegowanemu przez nich pół-księżycowi?"

Sułtan zaprawdę nie wie jak sobie radzić. Na jego miejscu jabym wysłał zręcznych werbowników na plac giełdy do Paryża i do Londynu, a ci by mi ręczę zarekrutowali tłumy zaciętych obrońców.

Na hasło: „10% le veult!" zamiast „Dieu le veult!" jak za Piotra Eremity: nowe postępowe, z Zachodu na Wschód podążyłyby krucjaty, tabliczkę procentową miast krzyża zawieszając na piersi; z Bambergier'em i Bischofsheim'em (bankierzy tutejsi) miast Gotfrieda de Bouillon na walecznych hufców swoich czele.

Epoka współczesna podjęła zadanie udowodnienia światu, iż religja, iż patrjotyzm, iż idea wolności, nie mają wyłącznego monopolu pobudzania do bohaterskich czynów na polu walki. iż bodźcem do takowych może być i interes materjalny i spekulac a pieniężna. Przykład tego widzieliśmy w ostatniej amerykańskiej, przed dziesięciu à peu prés laty wojnie. W imieniu handlu bawełną i niewolnikami krwawe tam staczały się boje, w obu zapaśniczych stronach prawdziwą udobitniając waleczność.

C'était tout simplement magnifique, i proponuję to za temat do obrazu jakiemu zdolnemu historycznemu malarzowi. Tło przedstawiać ma pole bitwy zasłane trupami. Na pierwszym planie leży młodzieniec świetnej urody. Śmiertelnie ranny, stygnącą dłonią do skrwawionej piersi przyciska pakę bawełny. Oblicze jego nadziemskim poświęcenia jaśnieje wyrazem. W górze unosi się anioł. Z ust jego to pocieszająca a trochę tylko zmodernizowana dawnego bohaterstwa płynie sentencja: *Dulce et decorum est pro bombyce* (zamiast pro patria) *mori*. Zgódźcie się sami, iż obraz taki byłby dokładną epoki naszej definicją.

Wracając do renty tureckiej nasuwa ona nam myśl wielkiej doniosłości politycznej (myśl godną Machiard'a, ze skromnie spuszczonemi dodajemy to oczyma.)

Miast wydawać nie wiem wiele miljonów rocznie na utrzymanie na nic nie zdatnych armij, państwa

drugiego i trzeciego rzędu mają daleko pewniejszy i łatwiejszy środek bronienia swej egzystencji przeciwko zaborczym atakom sąsiadów. Środkiem tym jest zadłużenie się po uszy w tych ajencjach handlowych, które Anglji, Francji, lub Włoch noszą nazwisko.

Une fois là, le tour est fait, zaangażowawszy swe kapitały, potężne te „Instytucje kredytowe" strzedz będą egzystencji zagrożonego państewka jak oka w głowie, jak jedynej szansy bycia zapłaconemi. Komuż z was nieznana doskonała komedja nieoszacowanego naszego Fredry pod tytułem „Dożywocie?"

Pamiętacie więc jej bohatera pana Łapkę, jak biega za awanturniczym swym klientem, jak nań chucha i dmucha, jakby rad kosztowny żywot jego w jakiemś wywatowanem zamknąć pudełku?

Otóż potęgi finansowe Zachodu ratując zagrożony byt dłużnego im państewka, *en grand* podobnej sytuacji dałyby nam powtórzenie.

Wojny: „krymska i meksykańska," wojna przygotowująca się —może teraz za kulisami dyplomacji, jasnym słów powyższych służyć mogą dowodem.

Iż nie było wojny „polskiej" w 1830 lub 1863 roku, iż nie było wojny „duńskiej" w 1864, 65 roku, czemu to głównie przypisać należy?

Temu właśnie, że biedna ojczyzna nasza, że ubożuchna Danja, nic nie dłużne i nic nie obiecujące w zysku Herszkom i Mortkom Zachodu, były w oczach ich zupełnym handlowym *non-valorem*.

Słuszność, prawo, i tym podobne średniowieczne, zużyte formułki, żadnego dziś na targu europejskim nie mają znaczenia.

Sprawy świata obecnie na dwie tylko dzielą się kategorje: tych, które „się opłacą" i tych, które „nie opłacą się" wcale.

Polska nie granicząc z Francją, nie mogłaby jej wynagrodzić żadną Niceą lub Sabaudją, za czynną interwencję. Korzyści płynące z ocalenia Danji nie powróciłyby kosztów wyłożonych na niesienie jej pomocy. Papiery tak polskie jak duńskie nie licytowane na tutejszym targu giełdowym, żadnego na kwitnący stan jego nie mogą mieć wpływu; w pożyczkę tych dwóch zer politycznych żaden pan de Momy wielkich nie włożył kapitałów. Tych kilku racyj dosyć, by poczciwy Zachód z absolutną przypatrywał się spokojnością wszelkim tam nad niemi popełnianym gwałtom. Lecz Turcja, to co innego! Ona na sumieniu, alias worku potęg cywilizowanych, miljardowym przynajmniej cięży kamieniem. Broniły jej zatem przed laty dwudziestu przeciw pożądliwości moskiewskiej, bronić jej będą może teraz przeciwko uciemiężonych Słowian insurekcji, bronić będą, nie bacząc po czyjej stronie prawo i słuszność, spiesząc z pomocą nie słabszemu a pokrzywdzonemu, lecz temu, który za pomoc tę lepiej zapłacić jest w stanie.

Pas d' argent, pas des Suisses! — mawiano dawniej o Szwajcarach, którzy ściśnięci w swej ubogiej, skalistej ojczyźnie, i niezdolni wyżyć w niej własnym kosztem, najmywali się jako żołnierze wszystkim bogatym sąsiadom, bez względu na mniejszą lub większą zacność reprezentowanej przez nich sprawy.

Pas d' argent, pas d' Europe możnaby teraz powiedzieć o całym cywilizowanym jej Zachodzie. Ma się go tylko za pieniądze! Za pieniądze krew jego rycerzy i rozum jego dyplomatów, za pieniądze jego przyjaźń, uznanie i opinja. Darmo nic, lub prawie nic. Płonne kilku zacofanych jednostek deklamacje, oto wszystko na co mogą liczyć ci, co jak my ubodzy, nie mogą obiecać żadnej innej indemnizacji tym Anti-Don-Kiszotom, prócz skromnego: Bóg zapłać!

By wykpić szaleństwo poświęcenia, by na błędny heroizm ostrą wygłosić satyrę, ludzkość znalazła genjusz Cervantes'a. Dla czego nie znajdzie go na spoliczkowanie lichwiarstwa i rachunkowości, tych dzisiejszych swych chorób, tych dzisiejszych i o tyle plugawszych ułomności? Miałyżby te leżyć w naturze człowieczeństwa? Miałyżby te być szpikiem jego kości, esencją jego krwi z pod serca? Kto na to odpowie? Postęp! Każdy naród magiczne to słowo na dziennym swym wypisuje porządku. Postęp! Postęp? W kierunku materjalnym? Zapewne! Przeczyć mu trudno. I ślepy nań namaca. W kierunku moralnym? Zgoła! Patrzącemu nań nieraz nie bez racji sądzić się wydarza, iż się wstecz cofa.

Spytacie się mnie dla czego pod specjalnym „Kronika paryska" tytułem, o tak ogólnych i tak mało „paryskich" rzeczach posyłam wam gawędy? Inaczej uczynić trudno. Staram się usilnie, by raz na miesiąc pisana „Kronika" moja była o ile można streszczonem życia tutejszego echem, i w liczbie dopełnionych lub dopełnić się mających faktów szukam takiego, któryby najżywiej publiczne tutaj kaptując zajęcie, był najdokładniejszym chwili, o której mowa, wyrazem. Faktem tym obecnie są zawikłania polityczne na Wschodzie. Zaabsorbowana niemi publiczność tutejsza, innym podrzędnym, roztargnionej tylko użycza uwagi. W Izbie wszelkie ucichły burze. Walne zwycięztwo jakie „jej prawica" niedawno na polu konstytucyjnem, nad przygnębioną odniosła „lewicą" pozwala rządowi spokojnemu wewnątrz, na zewnątrz baczne swe zwrócić spojrzenia. Cały świat czyni podobnież; „jak stoi renta Turecka?" powiedziałem to głównа i bodaj czy nie wyłączna kwestja, wszystkich zaprzątająca umysły. Obok niej ni miejsca ni czasu na inne. Skandal małżeństwa księżnej de Beauffremont z księciem Bibesco chwilową tylko posłużył dywersją. Jakkolwiek już obgadany i przegadany, zasługuje, bym choć krótkie posłał wam o nim wspomnienie.

Księżna, z domu de Chimay, oddawna już z mężem (księciem de Beauffremont) w bardzo złej żyjąc komitywie, zasypywała prośbami o seperację wszystkie kompetentne trybunały. Zawsze jednak bezskutecznie; kodeks bowiem francuski, wręcz przeciwny rozwodowi i na separację nieprzychylnem patrzący okiem, rację zawsze przyznawał mężowi.

Zrozpaczona księżna, przyparta jak się to mówi do muru, do innego rzuciła się środka. Wyjechawszy cichaczem do Drezna, postarała się tam o naturalizację saską i zmianą religji (na protestantyzm zdaje się) według praw miejscowych, z dawniejszych małżeńskich wyzwoliwszy się węzłów, związała się niezwłocznie nowemi z księciem Bibesco, z niecierpliwie jak widać na decyzję tę oczekującym amantem. Jeśli wspomnicie do jak wysokiej arystokracji należą domy tak książąt de Chimay jak i Beauffremont'ów, zrozumieć wam przyjdzie łatwo, jakiem rozgłośnem echem wieść o tem małżeństwie odbiła się w eleganckim tutejszym świecie. Świat ten wzorowej moralności (!!! korci mię wykrzyknikami podziwu całą zasypać stronicę) świat ten wzorowej moralności wystąpił z cnotliwie oburzoną anatemą na księżnę i jej nowego oblubieńca. Tak jest, wolno mieć kochanków tuzinami! Tak jest, wolno oszukiwać mężów ile się podoba, i pod dach ich i pod ich nazwisko obce jakieś, przybłędne wprowadzać potomstwo! Tak jest, wolno prawo sprzeciwiające się rozwodom różnemi pobocznemi obchodzić drożynami! Tak jest! Byleby majątek a znaczenie, świat na to wszystko pozwala, świat na to wszystko bardzo względnem, bardzo pobłażliwem się ogląda okiem. Lecz kobieta nadto uczciwa, by żyć z mężem, którego oszukuje; lecz kobieta nadto kochająca, by nie pójść za tym, którego umiłowała; lecz kobieta nadto szczera, by kłamać ciągle, kłamać bez końca: mężowi wiarę, ludziom cnotę, dzieciom ojca ich nazwisko; lecz kobieta, która przeniesie otwarty bunt przeciwko prawu, nad skryte z niem szacherki, o kobieta to na nic innego liczyć nie powinna, jak tylko na groźną anatemę! Bogiem jednak a prawdą na czyjej że stronie słuszność? Na czyjej cnota? Na czyjej istna moralność? Któryż mąż najbardziej o honor swój dbały nie wolałby by go żona porzuciła otwarcie, jak to z mężem swym uczyniła księżna de Beauffremont, niż by go oszukiwała pokryjomu, niż by mu do hodowania obce podawała pisklęta, jak to z mężami swymi co dzień tyle innych żon tego cnotliwego czyni świata? Dla czego nie pozwolicie na rozwód? Co w nim tak wasze przeraża sumienia? Czy obawa nadużyć? Zapobiedz im łatwo. Otoczcie go trudnościami. Zróbcie go możliwym tylko w nader rzadkich, w nader wyjątkowych wypadkach. Poddajcie go jakimkolwiek, choćby najcięższym do wypełnienia warunkom. Każdy się zgodzi na konieczność, na zbawienność tych najbardziej drakońskich restrykcyj; lecz pozwólcie nań od czasu do czasu, kiedy tego nie kaprys, kiedy tego nie widzi mi się kiedy tego gwałtem zbuntowana domaga się natura. Czyście pomyśleli czem musi być pożycie pary małżeńskiej, która oprócz obawy skandalu, żadnej już innej między sobą, ni w miłości, ni nawet w chłodnym szacunku, nie dostrzega spójni? Okropność! Ohyda! Galery, ciężkie roboty, słabe tylko o słodyczach jego dać mogą wyobrażenie. A jednak na całe życie tych ostatnich łaskawsze dla zbrodniarzy prawo, w rzadkich, w wyjątkowych tylko skazuje ich okolicznościach. Dla czegoż więc młode do ślubu idące pary tegoż samego wywołać nie mogą pobłażania? Dlaczego omyłkę swą w wyborze, omyłkę jednej chwili, tak łatwą do popełnienia i do wytłumaczenia zarazem, dożywotnią im trzeba okupywać męczarnią? Nie chciałbym pisać apologji rozwodu, nie chciałbym z długiemi na korzyść jego wyjeżdżać traktatami, ale słowa płyną na wargi same, muszę przytem zaczepioną kwestję bądź co bądź do pewnej doprowadzić konkluzji. Głównym argumentem w uściech antagonistów rozwodu jest obawa, by usankcjonowanie jego przez kodeks cywilny nie osłabiło familji, tej podstawy bytu wszystkich cywilizowanych społeczeństw. Argument to do wywrócenia łatwy. Dość dla tego okiem na statystyczne cisnąć tablice. Gdybyśmy argument ten przypuścili na chwilę, wynikiem loicznym takiej akceptacji byłoby twierdzenie, iż w państwach, które rozwód jako konieczność na praw swych zapisały tablicy, iż w państwach tych, w Niemczech, w Belgji naprzykład, idea rodziny większym niż we Francji ulega usterkom, mniejszemi niż we Francji trwania cieszy się gwarancjami. Otóż wspomniane tylko co tablice statystyczne wręcz przeciwne wykazują rzeczy. Niezbyt dawno dokonany spis ludności (recensement) we Francji, dowodzi czarno na białem, iż w większych jej miastach, w Paryżu, w Lyonie, w Marsylji naprzykład, liczba nieprawych związków i urodzonych z nich dzieci, wzrastając w sposób straszliwy, przewyższa już znacznie liczbę związków poświęconych przez kościół i zapisanych w księdze cywilnych aktów. Nie myślimy zgoła twierdzić, iż zamknięcie przez prawo bramy rozwodowej jest jedynym powodem tak smutnego stanu rzeczy. Powodu tego szukać zapewne trzeba gdzieindziej: w zepsuciu miast wielkich, w lekkim charakterze ich mieszkańców, itd. itd. do nieskończoności. Lecz jeśli argument ten uważamy za broń niegodną naszej sprawy, wątpimy by i przeciwna strona na swoją korzyść wyzyskać go potrafiła. Nigdy nie wyczerpane tablice statystyczne, inne, bardziej rzecz udowadniające, podsuwają nam spostrzeżenia. Nie ma kraju pod słońcem, w któryrnby procesa kryminalne o zabicie żon lub mężów, większą niż we Francji ilością śledztw, poszukiwań itd. odpowiednie zaprzątały juryzdykcje. Co to, to argument. Jak myślicie? Nie masz kraju pod słońcem, w którymby jak we Francji, pięćdziesiąt przeszło w przecięciu próśb o separację (séparation des corps et des biens) tygodniowo jawiło się przed zgorszonym trybunałem. W czem ta ostatnia lepszą jest od rozwodu, pytanie? Co na tem wygrywa społeczeństwo, iż rozłączona para, miast nowych rodzin stać się fundamentem w nowe oględniej zawarte wstępując związki, skazaną będzie na resztki nieużytecznego żywota, każde w swojej stronie. Dalipan, iż co w tem, to logika przesławnego kodeksu zupełnej ulega kontestacji. Nie jest że to działać wbrew wypowiedzianej z góry idei? Nie jest-że to miast obiecanej protekcji istotną rodzinie przynosić szkodę? Nie jest-że to w razie, przypuszczam, dość namiętnego temperamentu rozłączonych, nie jest-że to popychać ich ku nieprawym stosunkom ku niemoralności, ku skandalowi? Lecz przesławny kodeks mało co sobie z tego robi. Wertującemu jego karty nie rzadko na podobne absurda trafić się wydarza. Przy zdarzonej okazji, nie raz nam może jeszcze takowe podkreślać wam wypadnie... Obecnie, by zupełnej uniknąć monotonności, treści do dalszych gawęd poszukajmy gdzieindziej.

Mówiąc o śmierci rzeźbiarza Carpeaux, nie bardzo od powyższego oddalimy się przedmiotu. Nieboszczyk bowiem także źle żył z żoną, i kto wie czy gorycze tego pożycia nie przyczyniły się w znacznej mierze do przyspieszenia zgonu powszechnie żałowanego artysty.

Umarł opuszczony przez żonę, która panna de Monfort z domu, kobieta płaskiej inteligencji i suchego serca, niezdolna zatem ocenić genjuszu mężowskiego, w mieszczańskiem nazwisku, w rubasznych i prostaczych nieco manierach zmarłego (synem był biednego wyrobnika) wystarczające, według siebie, do rozstania się z nim znalazła powody.

Umarł obdarty przez nią do koszuli, i jeżeli przed śmiercią nie walczył z nędzą, to zasługa w tem bogatego wołoskiego magnata, księcia Stirbey, który

(jak widzicie Rumuni różnorodzajowe, lecz wybitne odegrywają tu role), który, powiadam choremu artyście w pałacu swym, w Courbevoie pod Paryżem, gościnnego udzielił schronienia.

Talent to był pierwszorzędny. Gdyby nie stworzył był nic więcej, prócz grupy wyobrażającej „Taniec“ i przystrajającej fronton „Nowej opery,“ to jej jednej byłoby dosyć, by rzeźbiarzowi w dziejach sztuki, zaszczytne i nigdy niezmazane wyjednać wspomnienie.

Główną cechą, a zaletą talentu tego było życie; życie najtrudniejsze może do oddania w marmurze chłodnym i sztywnym z natury, który jednak pod dłutem Carpeaux w tak pełne nerwów i gibkości łamał się kształty.

Przypatrzcie się wspomnianej grupie. Przedstawia ona cztery bachantki, które w rozmaitych skocznych pozach, podając sobie dłonie, formują koło, w środku którego, bijąc w bębenek, pląsa satyr brodaty: każda z tych pięciu postaci oddzielnie wzięta, oddzielne stanowi arcydzieło; kompletując się, dopełniając się wzajemnie, nader harmonijną wytwarzają całość. Ile energji, co naturalności w ich ruchach! Brak im czego? Być może gracji. Talent Carpxeau procedując, jeśli tak powiedzieć można, od Michała-Anioła bardziej się ubiegał za siłą i za prawdą swych kreacji, niż za zaokrąglonym ich wdziękiem. Kto co woli, zapewne. Co do nas, to byśmy mu chętnie słuszność przyznali. Jeśli gdzie, to w rzeźbie realizm wszelkie bytu ma prawo. Jeśli gdzie, gdzie, to w tej sztuce, co cała plastyką, cała ciałem, czas by już z konwencjonalnemi zerwać foremkami do spirytualizmu śmiesznych zrzec się pretensji. Iż tego chciał Carpeaux nie wątpimy. W sąsiedztwie grupy jego, o której mowa, stoją trzy inne przedstawiające: „Muzykę“, „Poezję liryczną“ i „Poezję dramatyczną“ rzeźbione dłonią bardzo zkądinąd uzdolnionych, lecz powyższą prawdą nie przesiąkłych artystów. Otóż sąsiedztwo to przekona patrzącego lepiej niż najwymowniejsze słowa o takich jak Carpeaux dążnościach. Czego szukał i co znalazł przedwcześnie zgasły artysta, to tam stoi, wielkiemi wypisane literami. „Życia! życia!“ to mówią był ostatni krzyk jego przed zgonem. Na rękę nam wierzyć, iż krzyk ten nie był zwykłą sobie płaczliwą prośbą, o przedłużenie nieszczęśliwego i styranego żywota. Na rękę nam wierzyć, iż w krzyku tym brzmiało Credo konającego, artystyczny jego dźwięczał testament. „Życia! życia!“ chciał on nim zapewne młodej rzeźbiarzy powiedzieć generacji: „Życia szukajcie! Bo w wiernem jego odtworzeniu jedyna przyszłość, jedyne sztuki naszej leży zadanie!“ Testament taki byłby uroczystą działalności mistrza konsekracją. Życie bowiem tryska ze wszystkich jego utworów, z opisanej grupy szczególnie. Rozbłyskiem swym w tej ostatniej, obudziło ongi kościotrupów klerykalnych gromadę. Słyszeliście bez wątpienia o Tartuffe'owskiej demonstracji, jaką przed laty siedmiu, jeśli się nie mylę, grupy tej przed Nową operą wywołało odsłonięcie. Jakiś gorliwy pana Veuillot i zasad jego zwolennik, po nocy, całym butlem atramentu, śnieżne marmurów jej obryzgał białości. Plamy zmyto. Nie wiem dla czego. Ja byłbym je zostawił. Niechby świat uczyły, do jakich ładnych rezultatów dowieść może klerykalizm i czem by była (czem będzie rzec by można ze względu na okoliczności) sztuka we Francji, pod wszechwładnem jego panowaniem. Przedstawiać jej długie, sztywne, w fałdziste szaty owinięte postacie świętych po framugach kościelnych. Nad to nic więcej. Natura, ciało ludzkie, nagie jego kształty, to rzeczy obydne, sprośne, patrzącego na grzeszne nawodzące pokusy. Precz z niemi! Ach! Jacy oni łatwi do kuszenia ci religjanci! Dalipan mam się za słabą i za ułomną jak inne istotę. Patrząc jednak na grupę Carpeaux i na podobne jej byleby artystycznie wykonane nagości, nigdy do złych myśli nie poczułem pochopu. Co to jest jednak świętość! Miałażby ona cnotę do większej usposabiać kruchości! Miałżeby Bóg rzeczywiście wybranych swoich na większe, niż niedowiarków nam podobnych narażać tentacje? Tajemnica! Zagadka! Pana Veuillot et Cie proście o jej rozwiązanie. My w teologiczno-psychologicznych kwestjach absolutni profani, spieszyć się z niem nie ośmielimy.

Obecnie plac Opery przed grupą Carpeaux miejscem innych, mniej może nabożnych, ale bardziej postępowych służy demonstracyj. Wielbiciele talentu zmarłego artysty (a jest ich jeszcze dzięki Bogu nie mało) arcydzieło jego codziennie żałobnemi obwieszają wieńcami.

Miasto Valenciennes, z którego Carpeaux był rodem, upomniało się o zwłoki zaszczyt mu przynoszącego dziecięcia, i własnym kosztem wspaniały mu wyprawiło pogrzeb.

Bądź co bądź, tryumfujący dziś tu klerykalizm zmoże być może wszystko, prócz jednej wolnej i liberalnej z natury swej sztuki. Francuzi, powiedziałem to gdzieindziej, to naród przeważnie artystyczny. Pod tym więc względem przynajmniej, oprze się rosnącemu jak na drożdżach wpływowi ojców. Daj to Panie, dla dobra ludzkości!

Z ostatnich publikacyj tak księgarskich, jak dziennikarskich, nic na szczególną dalekich czytelników nie zasługuje uwagę. Pani Georges Sand w *Revue des deux mondes* nowy zaczęła romans pod tytułem *La tour de Percemont*. Do ukończenia więc takowego o nim odłożymy decyzję. Wiktor Hugo w książce pod tytułem *En exil* swe polityczne gromadzi wspomnienia. Wielki poeta, mówiąc między nami, zanadto już może nieco eksploatuje ten epizod swojego żywota. Słysząc jak nań narzeka, jak cierpienia jego napuszonemi opisuje frazesami, myślałby ktoś doprawdy, iż prześladowany wieszcz republikanin, śniegi nie wiem jakiego Sybiru, skwary niewiem jakich puszcz podzwrotnikowych, w ostatecznym pogrążony niedostatku, z stoiczną zniósł wytrwałością. Tymczasem ocenione z bliska, straszliwe owe „wygnanie!“ redukuje się do bardzo przyjemnego pobytu na jednej z wysp normandzkich, o kilka mil od brzegów Francji, w ciągłych intelektualnych z nią stosunkach, pod opieką nader gościnnych rządów Wielkiej Brytanji i nietylko, że nie w zapasach z nędzą a niedostatkiem, lecz owszem pod podniesionem do Zenitu słońcem, (był to czas „Nędzników“ (Les misérables). „Robotników morskich“ (Les travailleurs de la mer itd.) sukcesów materjalnych.

Dalecy zapewne jesteśmy od twierdzenia, by takie wygnanie nie było już niem zgoła. Broń nas Boże! Własna chata milszą jest od obcych pałaców „Wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej!“ Nikt bardziej od nas nie odczuwa prawdy tej poczciwej staro-polskiej sentencji. Pigułka choć ozłocona zawsze jest pigułką i opuszczenie Ojczyzny swej, choćby d a raju, zawsze jest wygnaniem. Lecz pocóż się tak o swojem (znośnem względnie) rozpisywać zawzięcie, gdy tylu innych stokroć gorsze w milczeniu znosi bez skargi? Jakżeby nie jęczał wielomowny poeta, gdyby go los do kopalni Nerczyńska lub pod zabójczy klimat zesłał był do Kajenny? Mimowolnie przypomina się nam gadka o niedźwiedziu, któremu na kark spadła gałązka i który ryczał, jakby go smagano batogami. W obliczu klęsk olbrzymich, jakie trapią człowieczeństwo i jakie bodaj trapić je będą wiecznie, malutkie prywatne dolegliwości milczeć powinne, jeśli nie chcą na mniej więcej podobne narażać się uwagi.

Otóż i list nasz dosięgnięty prawie do miary; teatrów nie potrąciliśmy w nim umyślnie. Czekamy, aż sezon zimowy, jakiemś serjo nie zakwitnie dziełem. Obietnice takowego w „Cudzoziemce“ (l' Etrangére) Dumasa. Sprawozdaniu więc z niej wedlug wszelkiego prawdopodobieństwa przyszłą poświęcimy Kronikę. Będzie o czem mówić, jeśli krążące pogłoski choć połowę zawierają prawdy i zawczasu jak dziecko tej umysłowej, wielce pożądanej cieszymy się regalji.

Zawinilibyśmy i względem naszych dawnych zwyczajów i względem na całym świecie przyjętej grzeczności, gdybyśmy list niniejszy, ostatni w tym roku, szczeremi z serca płynącemi dla całej łaskawej publiczności nie zakończyli życzeniami. W braku rzeczywistego idealnym dzieląc się z nią opłatkiem, „Daj Boże za rok!“ z głęboką za wszystkiem co swoje powtarzamy tęsknotą.

I do przyszłego listu

J. S. Chamiec.

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Wiadomo, że w pismach czasowych, przeznaczonych dla szerokiej publiczności, powieść jako rzecz najpoczytniejsza, zajmuje najpierwsze miejsce. Otóż co się tyczy powieści, uznała redakcja *Dziennika literackiego* za stosowne ogłosić nawet konkurs na utwory tego rodzaju. W numerze 40 wspomnianego czasopisma, z dnia 2 października r. 1852 dowiadujemy się o warunkach konkursowych, które bardzo charakteryzują owoczesną chwilę. Powieści do konkursu przypuszczone nie mogły obejmować więcej nad dwa lub trzy arkusze zwykłego druku. Przedmiot do nich miał być brany z przeszłości społecznej, lub z bieżącego życia towarzyskiego. Wszelkie tendencje nie literackie miały być wykluczone z zakresu takich utworów, a autor miał obowiązek ścisłego stosowania się do istniejących ustaw prasowych. Za najlepszą powiastkę napisaną w określonych warunkach przeznaczyła redakcja 200 złp. nagrody. Sędziami ustanowiono Karola Szajnochę, Augusta Bielowskiego i Stanisława Pilata. Owoców spodziewanych ten konkurs nie wydał. Jakież bowiem po ogłoszeniu jego powieści spotykamy w *Dzienniku literackim?* Oto znajdujemy jeszcze w pierwszym tego pisma roczniku takie próbki, jak „Sioło w puszczy“ bezimiennego autora, lub jak „Obrazki z przeszłości“ przez G. C. W dalszych tomach spotykamy się z utworami powiastkowemi Władysława Zawadzkiego, a nawet Henryka Schmitta i Józefa Supińskiego, którzy nie na tem polu mieli się dorobić znakomitszego imienia. Korzystniej wyróżniają się szkice Józefa Dzierzkowskiego i Jana Zacharjasiewicza. Zresztą zasilał się *Dziennik* przekładami powiastek francuskich, samej miernoty, nie chcąc i nie mogąc wykreślić powieści ze stałych rubryk swego pisma. Te i inne niepowodzenia, przedewszystkiem zaś brak dostatecznych funduszów niezbędnych, gdy się nie liczy na ofiarność współpracowników, sprowadziły katastrofę łatwą do przewidzenia. Czasopismo, tyle pięknych rokujące nadziei, mimo zmian w składzie redakcji, które je ratować miały, ujrzało się w konieczności zawiesić już dnia 27. października 1854 r. wydawnictwo, przed dwoma laty pod dobremi rozpoczęte wróżbami.

Pomimo tego smutnego wypadku nie pozostała jednak Galicja bez pisma literackiego. Jeszcze w początku wspomnianego roku ukazały się *Nowiny* i od razu zyskały rozgłos. Redaktorem ich był ostatni redaktor *Dziennika literackiego* choć sam nowemu przedsiębiorstwu firmy nie dawał, nakład i całą odpowiedzialność złożywszy w ręce księgarza lwowskiego H. W. Kallenbacha. *Nowiny* już pierwszemi numerami niepospolicie się zaleciły, obfitując w poczytniejsze artykuły, mianowicie w zawsze dobre powieści i poezje. Nie dziw przeto, że w bardzo krótkim czasie zjednały sobie powszechną wziętość, i licznych prenumeratorów. Spotykamy się w tem piśmie nietylko ze znanymi już i zasłużonymi pisarzami, jak z Karolem Szajnochą, Wincentym Polem, Kornelem Ujejskim, Zygmuntem Kaczkowskim, Józefem Dzierzkowskim, ale także z całym zastępem początkujących autorów, z których następnie niejeden głośniejsze wywalczył sobie

imię. Skrzętna i zapobiegliwa redakcja umiała szczęśliwie wyszukiwać obiecujące zdolności i wprowadzać je na pole pracy literackiej. Do tego drugiego grona pisarzów należeli: Jan Zacharjasiewicz, Henryk Jabłoński, Mieczysław Romanowski, Bruno Bielawski, Oswald Pietruski. Ci wszyscy — z wyjątkiem chyba tylko jednego Henryka Jabłońskiego — byli reprezentantami prowincji naszej w tym rozbudzonym ruchu piśmienniczym. Wspierali wszelako także i inni pisarze polscy rozgłośnej już sławy te usiłowania pisarzów galicyjskich, mianowicie: Kraszewski, Korzeniowski, Syrokomla, Odyniec, Lenartowicz, nawet Jadwiga Łuszczewska znana pod przybranem nazwiskiem Deotymy. Przy takiej obfitości pracowników łatwo się tłumaczy, że znajdujemy w *Nowinach* dobór przedmiotów, przedewszystkiem zaś stale i dobrze zastępywane owe działy literackie, o których ważności w czasopismach wyżej wspomnieliśmy: poezję i powieść. Jako poeci odznaczali się wtedy Romanowski i Jabłoński, jako powieściopisarze Dzierzkowski i Zacharjasiewicz.

Po trzechletnim wcale chlubnym rozwoju, dla przyczyn od wydawnictwa niezawisłych, zakończyły *Nowiny* swój żywot w roku 1856. Nie nastąpiła jednak i tym razem stagnacja w ruchu umysłowym i piśmienniczym, tak bardzo teraz rozpowszechnionym i w tak żywych tętnach się objawiającym. Spadkobiercą *Nowin* stał się znowu *Dziennik literacki*, wskrzeszony w chwili zgonu pisma, o którem dopiero mówiliśmy. Możemy powiedzieć na pochwałę *Dziennika*, że w tej świeżej serji zaraz w samych początkach wyróżniać się począł od dawniejszych trzech roczników; powiemy więcej: w stosunku do *Nowin* stał się nietylko dalszym ich ciągiem, ale je także przewyższał, udoskonalając się nieustannie pod każdym względem i rozprzestrzeniając swój zakres. Między rokiem 1860 a 1863 stanęło to pismo na szczycie swego rozwoju i było jednem z najlepszych w całej Polsce. Wówczas skupiało ono w sobie nietylko wszystkie znakomitsze siły literackie krajowe, ale i dalsze polskie, siły wielkiego wpływu na społeczeństwo. Mieli w niem wtedy swój udział prawie wszyscy pisarze, których wymieniliśmy jako współpracowników *Nowin*. Grono to powiększało się jednak ciągle siłami pisarzów, bądź już znanych i zasłużonych, bądź też po raz pierwszy występujących. Z liczby pierwszych pozwalamy sobie wymienić tutaj jako współpracowników *Dziennika literackiego*: Ignacego Chodźkę, Karola Balińskiego, Romana Zmorskiego, Goszczyńskiego i Zaleskiego; do drugiego grona należeli: Zyg. Miłkowski, (T. T. J.), Karol Brzozowski, Adam Pajgert, Walery Łoziński, Józef Szujski, Karol Cieszewski, Adam Bełcikowski, Władysław Łoziński. Nie potrzebujemy tłumaczyć, że nie wszyscy ci pisarze, których wymieniliśmy, wystąpili zaraz w pierwszej chwili odrodzenia się *Dziennika literackiego*; przytaczając powyższe nazwiska, mieliśmy na uwadze cały okres powtórnego rozwoju tego czasopisma od r. 1856 aż do roku 1863.

Że ruch ten ożywiony, który tylko w ogólnych rysach skreślić usiłowaliśmy, wydał dla literatury ojczystej piękne owoce, tego tutaj bliżej objaśniać nie potrzebujemy. Za wszelkie dowody stanie wiele imon z liczby przytoczonych, które się już piękną okryły chwałą. Nie podobna nam też na tem miejscu zastanawiać się szczegółowo nad charakterem i dążnościami celniejszych utworów literackich owej chwili. Zawiodłoby to nas za daleko. Co się tyczy wpływu tej literatury na wykształcone nasze społeczeństwo, czuliśmy go wszyscy i wiemy, że w tem piśmiennictwie galicyjskiem, acz prowincjonalnem, tętniły wtedy głośno wszelkie echa narodowe; że się odbijało w niem, jak w zwierciedle, i to z czegośmy urośli, i to co nas boli, i to w co wierzymy i czego pragniemy. Zresztą samo rozpatrzenie utworów poety, o którym piszemy, będzie stanowiło najlepsze objaśnienie ówczesnych usiłowań całej literatury prowincji naszej. (C. d. n.)

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ V.

Po przeczytaniu tego listu, pani Helena, która i tak już miała wyraz cierpienia w twarzy, pobladła jeszcze więcej, opuściła ręce i w niemej boleści patrzyła przed siebie. Łez nie było w jej oczach. Tadeusz wiedział z doświadczenia, jak okropnym jest ból moralny tego rodzaju, i jak często miewa skutki szkodliwe dla zdrowia: komu natura nie pozwoli wypłakać się, ten zwykle odchoruje każde większe zmartwienie. Przejęty najwyższem współczuciem, Tadeusz kochał w tej chwili żonę więcej niż kiedykolwiek, o scenie wczorajszej zapomniał zupełnie. W istocie, postanowił on był zapomnieć o niej jeszcze przed otrzymaniem listu Karola. Z początku zirytował się był mocno, i położywszy się do łóżka, nie mógł zasnąć. Powtarzał sobie, że Helena jest złą i niewdzięczną. Powtarzał to tak długo, aż począł srożyć się w duchu na tę złość i niewdzięczność, rozgoryczać się coraz bardziej i miotać imaginacyjne gromy na winowajczynię. Wówczas czując, że chyba nie zaśnie do rana, wstał i wyjął z szafki książkę, której już dawno nie miał w ręku. Był to „Garbaty“ Korzeniowskiego — najlepsza, najprawdziwsza, i najbardziej chrześcijańska powieść, napisana po polsku. Otworzywszy tom w pierwszem lepszem miejscu, przeczytał parę stronic i czuł się nieco uspokojonym. Nareszcie obracając kartkę, znalazł jakiś papier, snać od kilku lat włożony. Rzucił nań okiem: pismo było dziecinne, na linjach, kreślonych ołówkiem Treścią jego było stylistyczne ćwiczenie na temat: „Jak człowiek powinien postępować, ażeby był szczęśliwym?“ Pan Tadeusz przypomniał sobie, że będąc raz u Skryptowiczów, robił w sekrecie wymówki nauczycielowi Helenki, iż zadania tego rodzaju przechodzą zakres wyobrażeń młodego wieku, i prowadzą jedynie do bezmyślnego powtarzania i rozwałkowania cudzych frazesów, bo trudno, ażeby kto w dwunastym roku życia miał oryginalne pomysły w kwestji, nad krórą tylu filozofów daremnie suszyło sobie mózgi. Później wziął był elaborat Helenki z sobą, ażeby go przeczytać, i zapomniał o nim. Teraz przebiegł go szybko oczyma i zatrzymał się na ostatnich wyrazach: „Umiej przebaczać, a będziesz szczęśliwym. Helena Grodecka.“ Uśmiechnął się szlachcic, i zadumał się trochę. Dlaczego nie przebaczyć? A raczej, za co się gniewać? Kto był winien scenie, która zaszła? On, on sam! Gdyby się nie był okazał miękkim, gdyby nim nie bywał bardzo często, gdyby w tym wypadku np. nie był prawie objawił skłonności do dania znacznej sumy pieniędzy na korzyść zakładu, któremu nie życzył powodzenia, i o którym nieraz wyrażał się jak najgorzej, pani Helena nie byłaby mogła przypuszczać, że dalszem naleganiem wymoże sumę, której pragnie, i nie byłoby się jej zdawało, że ma prawo być zirytowaną. Dla czego od razu nie wystąpił stanowczo? W ten sposób rozumował p. Tadeusz i skończył na konkluzji, iż sam wywołał szorstkie wystąpienie Heleny, które należało kłaść na karb uniesienia, nie zaś złego z gruntu i niewdzięcznego serca. Postanowił więc odpłacić jej to na razie jak największą łagodnością i czułością, a na przyszłość dać jej zawsze z góry do zrozumienia, że w tych a tych rzeczach jest i będzie nieugiętym. Po tej spowiedzi przed samym sobą, pan Tadeusz byłby spał wybornie, gdyby go nie trapiła astma. Rano przyniesiono list od Karola, który spotęgował jeszcze, jak już powiedziałem, jego usposobienie na wskróś pobłażliwe i wolne od wszelkiego żalu.

— Pojedziemy, duszko? — zapytał, całując żonę w czoło.

— Nie wiem, czy będę mogła, czuję się mocno cierpiącą. Migrena, i jakiś okropny rozstrój nerwowy...

Nastąpił wybuch obopólnej czułości.

— W takim razie, ja sam pojadę.

— O, za nic w świecie nie puściłabym cię teraz, kiedy od trzech dni masz tak silne napady astmy, i kiedy nie wiem, czy sama nie wpadnę w jaką chorobę.

— Ale cóż począć? Karol widocznie nie może sobie dać rady.

— Ach, Karol! Karol trzaśnie drzwiami, położy się spać, i przespi wszystko. Możesz być spokojnym o niego.

— Ba, gdyby tu o niego chodziło, ależ chodzi o mamę!

— Wiesz, Tadziu? Mam taki projekt. Doktor Chimerski wybierał się temi dniami w podróż do Wiednia. Gdybyśmy go poprosili, zdecydowałby się może pojechać dzisiaj, wstąpić do Karola, i wspólnie z nim zarządzić, co uzna za stosowne. My tam, — dodała z westchnieniem — nic nie pomożemy. Ja po prostu nie czuję się na siłach, a ty przecież nie jesteś lekarzem...

— Na wszelki wypadek, poszlę natychmiast po Chimerskiego i zasięgniemy jego rady.

Rezultatem tej konferencji było, że w kwadrans później doktor i proboszcz, obydwaj mocno zaniepokojeni, pojawili się w zamku, w chwili gdy podawano śniadanie na werandzie. Zastali tam państwa Zameckich i Helenkę; panna Wanda jeszcze spała. Dowiedziawszy się, o co chodzi, doktor postanowił południowym pociągiem wyjechać do miasta, i obiecał zarządzić, co się okaże potrzebnem, poczem miał jechać dalej, i wrócić za dwa tygodnie mniej więcej.

— Gdyby nie to szczęście, o którem dowiedzieliśmy się dzisiaj — mówiła pani Zamecka, — za nic w świecie nie puściłabym pana konsyliarza z Rymiszowa. Czy wiesz pan, że Tadeusz miał dziś nad ranem znowu tak silny atak astmy, że Jakób zastał go leżącego bez przytomności na sofie, wszedłszy do jego pokoju?

— To już jest rzeczą pani dobrodziejki, zniewolić męża, ażeby się pozwolił leczyć.

— Dobryś, doktorze! — zażartował p. Tadeusz. — Co mi pomoże cała wasza medycyna, skoro w pierwszej lepszej encyklopedji mogę wyczytać pod rubryką astmy: „leczenie niepewne!“

Róbcie sobie eksperymenta na kim innym; ja wolę od czasu do czasu stracić przytomność, niżeli męczyć się codzień lekami, o których wiem z góry, że mi nic nie pomogą.

— Mylisz się pan, wraz z encyklopedją. Astma bywa najczęściej objawem następowym innej jakiejś, podstawowej choroby, która może być do wyleczenia, a wówczas ustąpi i astma. Pozwól się pan zbadać jakiemu lekarzowi. Niech pani dobrodziejka, po moim wyjeździe, wywiezie męża do miasta, i niechaj pani nalega póty, póki przynajmniej nie podda się rozpoznaniu medycznemu. Z tem nie ma co żartować.

— Czy astma jest niebezpieczną chorobą? — zapytała Helenka, blednąc. Pani Zamecka spojrzała na nią w tej chwili poraz pierwszy od czasu gdy się zaczęło śniadanie.

— Astma jest trudną do wyleczenia, ale rzadko tylko bywa śmiertelną.

— A zadumane oczy, konsyliarzu, zagadnął śmiejąc się p. Zamecki, czy są niebezpiecznym symptomatem?

Helenka zarumieniła się, doktor począł wywodzić obszernie, że symptomat ten jest bardzo niebezpiecznym, p. Tadeusz i proboszcz śmiali się, i tylko pani Zamecka, spojrzawszy z ukosa na oczy, o których była mowa, rzekła obojętnie:

— Sądzę, że więcej senne, niż zadumane.

— Dlaczegożby miały być senne? czy nie spałaś dobrze, Helenko? Bałaś się może?— pytał p. Tadeusz.

— Z początku pisałam listy, a potem... bałam się w istocie. W dzień nie wierzę w zjawiska, ale po zachodzie słońca przypominają mi się wszystkie strachy, o jakich słyszałam.

— A więc słyszałaś o strachach w Rymiszowskim zamku?

— Kseńka wspominała o nich.

— Co za niedorzeczność!

— Proszę cię Tadeuszu, — odezwała się pani Zamecka — czy jest jakie podanie historyczne, na któremby mogła być opartą ta bajka o widmach, pokutujących w wieży, w której masz twój gabinet „do dąsania się?“ Nic nieznośniejszego, jak te bzdurstwa, cały dwór często bywa tak wylękniony wieczorami, że żadna sługa nie odważy się wejść do ciemnego pokoju. Gniewam się nieraz. Czy jest w tem co?

— Jest. Jeden z Zameckich — nie ten, co zabił komtura pod Grunwaldem, ale ten, co uciekł z pod Pilawiec, ożenił się na starość po raz czwarty, z młodą osobą, którą za niego wydano z powodu że był bogatym, a która prawdopodobnie kochała się w innym. Jakaś baba znachorka dostarczyła jej trucizny... Co tobie, Helenko?

— Wszak wiesz, jaką mam migrenę. Ale... kończ, od ośmiu lat chciałam słyszeć tę historję, i jakoś zawsze zapominałam prosić o nią. Proszę... „Helenkę“ podać mi ten kawałek cytryny; przyłożę ją do skroni, to mi czasem uśmierza ból głowy.

— Pani powinna pójść położyć się—zauważył doktor.

— Nie, sprobuję jeszcze, kto mocniejszy, ja czy migrena? Więc baba dostarczyła jej trucizny?

— Tak, ale ten Zamecki miał córkę z jednego z poprzednich małżeństw swoich, która podpatrzyła macochę, i ostrzegła ojca. Wówczas mój przodek sprosił rodzinę, i w obecności wszystkich zmusił żonę do wypicia piwnej polewki, którą dla niego przygotowała. Babę zamknięto w wieży, gdzie się powiesiła. Od tych czasów aż do moich, zamek stał pustką. Mam w mojem posiadaniu akta grodzickiego sądu, stwierdzające to opowiadanie.

P. Tadeusz zwrócił się był do doktora, gdy to mówił, inaczej byłby z pewnością, zamiast kończyć historję, zapytał ponownie panią Helenę co jej jest takiego? Helenka tylko i proboszcz spoglądali na nią z niepokojem. Odstawiła była najpierw cytrynę, której żądała, i wsparta dłoniami o brzeg stołu, śmiertelnie blada, podniosła się do połowy z krzesła. Twarz jej miała wyraz trupi, oczy zmienione były do niepoznania, zdawało się, że wzrok jej skostniał, i że cała skostniała. Patrząc na nią, Helenka pobladła także. Dreszcz ją przebiegł, pochyliła się, i nieznacznie zrobiła znak krzyża na piersi.

Nim Tadeusz i doktor spojrzeli na panią Helenę, wstała z miejsca, i chwiejnym krokiem, z kroplami potu na czole, poszła ku drzwiom.

— Przepraszam... żegnam konsyliarza...

— Niech pani dobrodziejka idzie spocząć, na migrenę tak silną nie ma jak spoczynek! — wołał doktor, i pani Zamecka, pożegnawszy towarzystwo lekkiem skinieniem ręki, oddaliła się do swego pokoju.

— Ciebie także musi boleć głowa, Helenko? — zauważył p. Tadeusz. Jakoś dzisiaj pochorowaliśmy się wszyscy!

— Nie, papo, nic mi nie jest...

Doktor który poraz pierwszy usłyszał, że Helenka nazywała p. Zameckiego ojcem, rzucił na nią i na niego spojrzenie nieco zdziwione, którego wszakże nikt nie spostrzegł. Rozpoczęło się, za pośrednictwem p. Zameckiego, parlamentowanie ze starszą Heleną, czy nie pozwoliłaby udzielić sobie pomocy lekarskiej. Odmówiła stanowczo twierdząc, że do zachodu słońca ból głowy przeminie. Wśród tych rokowań, Helenka zapytała nieśmiało doktora, kiedy wyjeżdża.

— Za godzinę — była odpowiedź.

— W takim razie... wszak pan konsyliarz będzie u wujcia Karola?

— Tak jest. Czy mogę w czem służyć pani?

— Chciałabym... napisać jeszcze list do cioci, i prosić, jeżeli pan łaskaw...

— Wszak dałaś podobno dziś rano list na pocztę — rzekł p. Zamecki. — Jesteś bardzo pilną korespondentką!

— Ależ, panie Tadauszu — mówił doktor — wszak to uwlaczałoby wszystkim tradycjom i zwyczajom płci pięknej, albo dokładniej mówiąc, tradycjom i zwyczajom narodowym, nie pisać „przez okazję,“ gdy się zdarza „okazja“ Bardzo mi miło, że trafiam się pani w charakterze okazji, i proszę tylko o list za godzinę, bo jeżeli się spóźnię do pociągu, to potem znowu mnie gotowa nie trafić się tak dogodna „okazja“ do wyjazdu. Czy będą może jakie sprawunki? Wszak niepodobna, ażeby nie było sprawunków?

— Nie, dziękuję panu.

— Tu w Rymiszowie można dostać wszystkiego... nieprawdaż, Helenko? Pod pewnym względem, nie mienialibyśmy się nawet z największem miastem. Cóż?

Świeży pieczony raczek był wymownie milczącą odpowiedzią na to drażliwe zapytanie, a Helenka wybiegając z werandy, zasłyszała jeszcze tylko wymówkę proboszcza, zrobioną p. Tadeuszowi, że „nie godzi się w ten sposób wprowadzać w ambaras młodą dziewczynę.“

Nierównie wszakże większym był ambaras, w którym znalazła się Helenka, zasiadłszy ponownie do pisania listu. Z jednej strony, po scenie, jaka zaszła przy śniadaniu, wszystkie jej mgliste trwogi i podejrzenia nabrały pewniejszych kształtów — ale tylko dla niej samej. Z drugiej strony, podejrzenia te były tak okropne, że potrzeba było wielkiej odwagi, by je sformułować. Gdy szła za popędem silnych, wewnętrznych wrażeń, których doznawała, i zbliżała pióro do papieru — potworność przypuszczeń, które miała spisać, wytrącała jej to pióro z ręki. Dziesięć razy postanawiała zaniechać pisania, i dziesięć razy stawały jej przed oczyma w nieubłaganym, logicznym związku wszystkie te drobne szczegóły, które składały się na jej niepokój. Gdy próbowała zestawić je i skreślić, oskarżenie lub podejrzenie, któremu miała dać wyraz wydawało jej się jeszcze potworniejszem, niż jego przedmiot. Mocny Boże! Gdyby to wszystko było tylko niedorzecznym płodem jej wyobraźni — nigdy, nigdy sama sobie nie przebaczyłaby takiej lekkomyślności. W siedmnastym roku życia debiutować w roli fałszywej oskarżycielki, złośliwej plotkarki! Nie — rzuciła pióro.

Zaledwie to uczyniła, niepokój owładnął ją na nowo z coraz większą potęgą. Pani Zamecka w tej pozycji, z tym wyrazem twarzy, z jakim słuchała opowiadania pana Tadeusza, stawała jej przed oczyma. Miała migrenę, to prawda. Ale Helenka miewała także nieraz migrenę, i przypominała sobie, że im silniejszym bywał ból głowy, tem bardziej stawała się obojętną na wszystko, co ją mogło zajmować, gdy była zdrową. Najmniej zaś mogła wówczas słuchać uważnie jakiego opowiadania. Tu zaś widziała na własne oczy, że pani Zamecka więcej niż z uwagą, bo z jakąś nadprzyrodzoną grozą słuchała historji analogicznej z nieokreślonemi obawami, które jej się snuły po główce. Helenka czuła mimowoli, że to co spostrzegła przed chwilą, przy śniadaniu, dawało jej podstawę do czegoś więcej, niż do płonnego domysłu, czuła, że to dało p e w n o ś ć jej podejrzeniom, dotychczas nieokreślonym. Ale jak to wytłumaczyć komu drugiemu, zwłaszcza listownie? Jak oddać swoje wrażenia, ażeby na wszelki wypadek, uniewinnić się z tego, że się je wypowiedziało.

Helenka spoglądała przed siebie w bezradnem zamyśleniu. Wzrok jej przypadkiem spoczął na książce, którą jej był przysłał Wacław. Otworzyła ją machinalnie, i przypatrywała się notatkom, czynionym jego ręką. Myśl jej odbiegła na chwilę od teraźniejszości, zdawało się jej, że siedzi przy stoliku z Franią i Adelcią, i że Wacław wykłada im nauki w ten sposób jasny, zwięzły, matematyczny, który mu był właściwym. Ktoś raz poetyzował, zamiast wyciągnąć łatwy i prosty wniosek z przedłożonych sobie danych. Było to podczas lekcji kosmografji. Wacław mówił, że skoro znaną jest rzeczą, iż oddalenie ziemi od słońca wynosi dwadzieścia miljonów mil, więc przypuściwszy, iż słońce obraca się na około ziemi, należałoby przypuścić, iż w dwudziestu czterech godzinach robi ono przeszło stodwadzieścia miljonów mil, w przeciągu godziny, pięć miljonów, a w przeciągu sekundy, przeszło tysiąc trzysta mil drogi, a w takim razie, musiałoby się oku naszemu wydawać ognistą smugą, przerzynającą widnokrąg, i nigdy z niego nie znikającą. Demonstrował to, dla przykładu, żarzącym węglem, którym szybko zakreślał koło w powietrzu, i pytał, jaki ztąd należy wyciągnąć wniosek, że słońce nie wydaje nam

dni Wacław, ani p. Sam nie zastanowili się nad tem, co pierwszy mówił, a drugi napisał

się taką smugą ognistą. Ktoś zaczął zachwycać się przypuszczeniem, że mogłaby być taka wieczna, ognista tęcza na niebie, a na to: Fakta, panno Heleno, fakta! — zawołał Wacław. — Natchnienie dobre do wierszów, a Kopernik uczuciem nie znalazł swojego systemu. Proszę uwzględniać tylko fakta!

Ocknęła się. Tak jest, Wacław żądał faktów. Helenka zaczęła zestawiać fakta.

Faktem było, że pan Zgorzelski w aptece, bez wiedzy właściciela, przywłaszczył sobie kawałek trucizny, zwanej sinkiem potasu.

Faktem było dalej, że p. Zgorzelski wręczył p. Zameckiej małą paczkę, owiniętą w papier, po którą ona wyszła na ganek, którą odbierała w chwili, gdy oboje mogli przypuszczać, że nikt ich nie widzi, i której p. Zgorzelski nie pozwolił jej rozwijać.

Faktem było, że pani Zamecka wspominała o lekach homeopatycznych, jakoby przywiezionych jej przez p. Alfreda, podczas gdy w aptece, w której Helenka, Frania i Adelcia zastały p. Zgorzelskiego, nie sprzedawano leków homeopatycznych.

Faktem nakoniec było, że opowiadanie pana Zameckiego o tragicznym wypadku w jego rodzie, który dał powód do baśni ludowej o widmach pokutujących w zamku rymiszowskim, wywarło na p. Zameckiej wrażenie, niepodobne do opisania, i którego powodem, ze względu na dzień biały, nie mogła być zabobonna trwoga.

Helenka poprzedziła te fakta krótkim wstępem, zawierającym rodzaj apologji — tłumaczyła się niepojętym, dziwnym, a nadzwyczaj silnym niepokojem, który ją trapił, a adresując list do ciotki, nie omieszkała dodać, że osoba pani Zameckiej była jej z góry niesympatyczną, i że brak ten sympatji wzmógł się w skutek chłodnego przyjęcia, jakiego doznała z jej strony, co wszystko mogło wpłynąć na powstanie dziwacznych i potwornych domysłów, które wysnuła z przytoczonego tu szeregu faktów. Wyliczywszy je i wyszczególniwszy, prosiła ciotkę, ażeby je rozważyła swoim dojrzalszym rozsądkiem i w razie, gdyby jej się to wszystko wydało tak błahem i tak niedorzecznem, jak się prawdopodobnie okaże, zaklinała ją, aby zniszczyła ten list i nie wspominała o nim nigdy i nikomu. W przeciwnym razie, tj. gdyby ciotka przypuszczała, iż Helena nie spisała samych nonsensów, list miał być oddany wujowi, tj. p. Skryptowiczowi. Po napisaniu tego wszystkiego, Helenka odczytała swój list parę razy, przeczytawszy wszakże poprzednio kilka pierwszych lepszych stronic z książki, którą miała pod ręką, a to z największą, jak tylko mogła, uwagą. Pan Wacław nauczył ją, że jeżeli sobie chcemy dokładnie zdać sprawę z tego, cośmy napisali pod silnem wrażeniem jakiejś na wskróś nas przejmującej myśli, a mianowicie, eżeli chcemy mniej więcej wyobrazić sobie, jak wyda się drugim to, cośmy napisali, dobrze jest przed odczytaniem zająć się czemś obojętnem, ażeby bodaj na chwilę oderwać myśli od zajmującego nas przeważnie szeregu pojęć i wyobrażeń. W braku czego innego, Helenka odczytała tedy rzecz o fermentacji wyskokowej i octowej, a potem dopiero swoje pismo. Nakoniec, przestała się wahać, zapieczętowała list i wróciła z nim na werandę.

Zastała tam dyskusję obyczajowo-historyczną. Proboszcz dowodził, że zbrodnie skrytobójstwa rozmyślnego morderstwa wyjątkowo tylko, i w bardzo wielkieh odstępach czasu, wydarzały się w Polsce. Pan Zamecki był przeciwnego, a raczej tego zdania, iż zbrodnie podobne wydarzały się u nas równie często, jak w innych krajach, położonych pod tą samą szerokością geograficzną i mających podobne do naszych stosunki społeczne. Dat statystycznych nie było pod ręką, ale p. Tadeusz przytaczał na poparcie swojego zdania mnóstwo faktów, które przechowała historja, i które, jakkolwiek mniej powszechnie znane, miały dowodzić, że pod względem obyczajowym nie byliśmy wprawdzie gorszymi, ale też nie byliśmy i lepszymi od innych. Proboszcz powoływał się na fakt, iż królobójstwo nie wydarzyło się u nas nigdy. Na to odpowiadał p. Zamecki, że późniejszych królów nikt nie zabijał, bo w istocie rzeczy nie byli królami, ale za czasów piastowskich, kiedy jeszcze władza monarsza coś znaczyła, targano się nieraz na życie królów. Między innemi przytaczał zamordowanie Leszka Białego, i robił uwagę, że jeżeli — chociaż mylnie — wyobrażamy sobie Glińskiego Polakiem, to Świętopełk i Odonicz, sprawcy zamachu w Gąsawie, nierównie większem prawem mogą być nazwani Polakami. Zresztą i w późniejszych czasach, dodawał, ci królowie, o których wiemy, że myśleli o rozszerzeniu i wzmocnieniu swojej władzy, panowali krótko i umierali śmiercią nagłą, zagadkową i tajemniczą. Jan Olbracht, Stefan Batory i Władysław Waza pomarli bardzo niespodzianie... Po śmierci nawet bezsilnego Michała Wiśniowieckiego lekarze lwowscy, jak świadczy wiarygodny, naoczny świadek, ksiądz Józefowicz — skonstatowali truciznę w wnętrznościach.

Trudno opowiedzieć, z jakiem uczuciem niemiłem Helenka słuchała tego wywodu. Raził on z jednej strony wszczepiony w nią pietyzm dla przeszłości, a z drugiej strony zdawało się jej, że p. Tadeusz zbyt jasno i namacalnie dowodzi, iż w Polsce można być otrutym tak dobrze, jak gdzieindziej. Szczególnie uderzały ją wzmianki o zbrodniach, gwałtach i okrucieństwach za czasów piastowskich, w istocie obfitujących w krwawe epizody. Zamki palone wraz z załogami — zdrady i bezprawia w rodzinach — zdziczenie ogólne, wszystko to razem stanowiło obraz równie ponury, jak ten, który jej ciągle był w myśli. Ale nareszcie minęła godzina, którą doktor mógł jeszcze przegwarzyć w zamku, a proboszcz oświadczył także, że musi pójść uspokoić Wacława, także bardzo przerażonego, jak mówił, tą okolicznością, iż tak wcześnie wysłano konie z zamku po lekarza.

— Niechajże nam go ksiądz proboszcz przyprowadzi po objedzie, ażeby się przekonał, że nikomu nic się nie stało! — rzekł p. Zamecki przy pożegnaniu.

Ale niestety, Wacław nie przyszedł tego dnia. Ksiądz proboszcz przyszedł sam, i to w niezwykle kwaśnym humorze. Mówił, że Wacław zajęty jest pracą. Być może, że pracował — „faktem“ atoli było tym razem, że miał rozmowę z księdzem, która zakończyła się dla niego pierwszą siarczystą burą, jaką otrzymał w swojem życiu od ks. Chyżyckiego. My domyślamy się powodu — ale w zamku nikt o niczem nie wiedział.

Natomiast, zaraz po objedzie, wpadła na dziedziniec bryczka p. Zgorzelskiego. Właściciel wyskoczył z niej z miną znacznie gorszą od tej, którą miał zwykle. Był jakiś nie swój, i po krótkiej rozmowie na werandzie z panem domu, proboszczem i pannami zapytał, czy nie mógłby widzieć się z panią Zamecką? Pan Tadeusz przypuszczał, że raz już przecież pan Alfred ma coś stanowczego do powiedzenia w sprawie ženienia się z panną Wandą, poszedł więc do pokoju żony i wrócił z wiadomością, że pani Helena ma się znacznie lepiej i gotowa jest przyjąć p. Zgorzelskiego w swoim saloniku.

Przebieg i wynik rozmowy, która nastąpiła w tym saloniku, ma tak ścisły związek z końcem tej powieści, że odłożymy go do następnego rozdziału, a tymczasem, szybciej od parowej maszyny, pospieszymy do miasta w ślad za doktorem Chimerskim. (C. d. n.)

Na pobojowisku.

Ustała bitwa — umilkły armaty,
Dym wzbił się w górę — wróg pierzchnął w nieładzie,
Sława odziana w krwi ciepłej szkarłaty
Na bohaterów czoła laury kładzie.
I z tysiąc piersi okrzyk w niebo bije:
Zwycięstwo nasze! — Hurra! — Król niech żyje!

Tysiące trupów i rannych tysiące
Wśród szczątków broni leżą na poboju...
Błękit bez chmurki, na niebiosach słońce
W majestatycznym spogląda spokoju —
Wiosenny wietrzyk wieje od zachodu
Pełen zapachu żywicy i chłodu.

Cisza... Czasami jaki jęk stłumiony...
Doleci, skrzypną ambulansu koła,
Zabrzęknie bronią patrol oddalony,
I znowu cisza panuje dokoła —
Tylko słowika, co w pobliskim lesie
Skrył się przed bitwą, wiatr piosenkę niesie.

Słońca promienie, wietrzyk, śpiew słowika,
Światła, zapachów i tonów kaskada
Łączy się z sobą, pochwyca, przenika
I na ciernisko krwawe śmierci pada.
Wobec tych trupów, tych rannych, mój Boże!
Jak wietrzyk śmiać się, słowik śpiewać może?

Pod nikłym krzakiem, wśród trupów gromady,
Obok lawety młody żołnierz leży,
Oczy otwarte ma, śmiertelnie blady —
Wielkie czerwone plamy na odzieży...
Z piersi mu struga purpurowa płynie,
Po trawie sączy się, i w ziemi ginie.

Przycichłym głosem ranny jęknął: „Matko!
O matko moja wzięli mię od ciebie!
Jak ty przed pustą będziesz pł kać chatką,
Gdy o mym krwawym dowiesz się pogrzebie —
I siwe włoski targać będziesz z głowy!...“
W tem silniej wietrzyk zaszumiał majowy.

„Kto Zosi kwiatki co ranka przyniesie.
Kto wieczór piosnkę do snu jej zanuci?
Upior mój chyba usiadłszy na strzesie
Skon jej objawi, i spokój zakłóci,
I wróci znowu spocząć pod mogiłą!“
Na niebie słońce silniej zaświeciło.

„O Boże! Czemu mi każesz umierać?
Niech jeszcze matkę, niech Zosię popieszczę!
Jam siał dopiero... owoce daj zbierać!
Jeszczem tak młody... O dozwól żyć jeszcze
A będę imię twe chwalił radośnie!“
W odpowiedź słowik zakwilił rozgłośnie.

Tchu mu zabrakło, opadła mu głowa,
Jęknął: „Ratujcie! — Kropelkę choć wody!“
Bez echa w polu przebrzmiały te słowa
I skonał szepcąc: „Jam jeszcze tak młody!“
A w dali okrzyk z tysiąc piersi bije:
Zwycięstwo nasze! hurra! Król niech żyje!

B. Czerwieński.

POGADANKI.

LI.

Kto chce nabyć anti-szopenhauerowskiego poglądu na świat i na ludzi, i w krótkim przeciągu czasu skłonić się do optymizmu, temu radzę ażeby zachorował na parę tygodni. Świat i ludzie wydają się najlepiej, gdy się ich obserwuje z łóżka. Co mi szkodzi mróz i zawierzucha, skoro zapalono w piecu? Co mi wadzi nieporządek na ulicach, skoro nie wychodzę z domu? Co mi zrobią koncertami, skoro humanitarne instytucje prawne zabraniają transportować chorych przemocą do sali koncertowej? A ludzie? Chodząc, napotykam między nimi dużo egoistów. Gdy leżę w łóżku, widuję tylko bezinteresownych, życzliwych, współczujących. Inni — nawet wierzyciele nie pokazują się wcale. Życie dłużnika nie posiadającego majątku zbyt jest cennem, by nawet najniecierpliwszy Shylock narażał je na szwank, irytując chorego. Co więcej, straszniejsi od wierzycieli nieubłagani wydawcy, zamiast domagać się manuskryptu, napominają człowieka, aby się szanował i zbyt wcześnie nie rwał się do pracy. Jednem słowem, chory doznaje najprzyjemniejszych pod względem moralnym wrażeń zewnętrznych. Subjektywnie natomiast bywa usposobionym do lirycznego kwilenia, a jeżeli domownicy przez nieostrożność zostawią mu pod ręką materjały do pisania, nie trudno o jaki nieszczęśliwy wypadek w formie rymowanej, jak np. o wiersz, opiewający różaną barwę, słodycz i aromat malinowego soku, albo o elegję o rumianku, tym skromnym kwiatuszku, który za życia nikomu nie pcha się w oczy, nikogo nie usiłuje zaćmić, ale cnotliwie tuli się w kąciku, a skoszony, uzdrawia swoich morderców. Nadzwyczajnej też jedynie przezorności zawdzięczam ocalenie moje od tak okropnej katastofy. Gdybym w ostatnich trzech tygodniach dorwał się był na chwilę pióra albo ołówka, byłbym już dzisiaj jednym z „naszych młodych wieszczów“ i drżałbym z obawy, iż wkrótce pojawi się o mnie obszerna monografja w „Szkicach“ krakowskich.

Los to pożałowania godny, jeżeli się zważy, ile gromów, poczęści dość potężnego wagomiaru, uderzyło, temi dniami tylko, w zbolałe serca naszych króciej i dłużej wyrośniętych piewców. Najgroźniej zaś zaciężył nad nimi *Szczutek*, współpracownik jego bowiem, imć pan Onufry, najwyraźniej w świecie w ostatniej przemowie swojej przeciwstawił „poetów“ i „jenteligentów“ jednych drugim, dając tem samem do myślenia, jakoby już nawet u przednajniższych warstw ludności rozpowszechnił się pewnik, że jest rodzaj wersyfikatorstwa, który na żaden sposób z inteligencją w parze iść nie może. To wszelako nietylko nie jest pewnikiem, ale owszem, jest z gruntu błędnem zdaniem.

Wszak nikt nie odmówi „inteligencji“ przemysłowcowi, któremu udało się rozwiązać thackerayowski problemat: *to live on nothing a year**) Cobyśmy powiedzieli o piekarzu, któryby potrafił utrzymać się, wypiekając same tylko dziurki z obwarzanków? Byłby to filut, nie prawdaż? Ale czy moglibyśmy zaprzeczyć, że wykonywanie tak trudnego rzemiosła wymaga pewnego stopnia inteligencji, i że sama już bezczelna śmiałość pomysłu zasługuje na podziwienie?

Wypieka się codzień świeży pokarm nie tylko dla ciała, ale i dla duszy. Bywa on zazwyczaj dosyć lekkim, ale pewną przecież substancję musi mieć w sobie. Otóż pewna ilość przedsiębiorców wpada na myśl, że duszę można karmić dziurkami z obwarzanków. Urządzają się piekarnie, handle i kramy do rozprzedaży *en gros* i *en détail* i brakuje jeszcze tylko nowemu cechowi — oprócz kupców — sankcji, uznania niejako urzędowego. Cech wysyła delegata na walne zgromadzenie stanów, upominając się o swoje prawa. Stany mogły odrzucić petycję, ale należał jej się przecież *un succès d'estime*, godziło się uznać, że to nie była głupia głowa, która wpadła na tak przedziwny koncept. Gdyby mi kto zaproponował, że będzie kichał za mnie, ilekroć dostanę kataru, jeżeli mu nie odmówię za tę czynność stałej remuneracji uwalniającej go od potrzeby szukania innego zarobku; nie sięgnąłbym wprawdzie do sakiewki, ale dalipan nie wstrzymałbym się od wykrzyku: „A niechże pana kaczka kopnie, jaki z pana majster!“ Tu tymczasem, staje przed nami kilku dorodnych młodzieńców i jeden z nich mówi: „My będziemy ciągle nadsłuchywali, czy nie boli nas serce, a jak nam się będzie zdawało, że nas boli, to wam to powiemy wierszami. Umówimy się z góry że przyczyną bolu jest „tęsknota do ideału.“ Dacie nam za to wikt, pomieszkanie, zapłacicie nasz rachunek u krawca, i nie każecie nam robić nic więcej, a oprócz tego wychowacie wasze córki tak, ażeby się wszystkie w nas kochały, z wyjątkiem tych, które są brzydkie, a nie mają posagu,“ Kwestja była postawioną jasno i zrozumiale — a zaminst oklasku, przyjęto proponentów ogólną kocią muzyką, na którą odpowiedział cichy jęk pognębionych, żalący się przestworom wszech świata, że wiek dzisiejszy odpycha wszelkie ideały!

Tym sposobem, piekarze duchowych dziurek z obwarzanków niebacznie przenieśli kwestję na pole krytycznej dyskusji. Wiek bez ideałów musiałby być wiekiem bez namiętności. Czy jest nim wiek dzisiejszy? Czy jest nim wiek, który rozpoczął się wojnami napoleońskiemi, a nim skończył trzy czwarte swojego biegu, przedstawił nam dramat niemniej straszny od upadku Sardanapala? Czy to wiek bez namiętności nad wszelki wyraz spotęgowanych, w którym sfanatyzowany przesąd walczy ze sfanatyzowanym równie rozumem? W którym tętno społeczne bije przyspieszonem jak nigdy, gorączkowem drganiem? Któż temu winien, że kiedy „huk dział wystrasza słowiki z ogrodów,“ słowiki głuche piszczą w krzakach na dawną nutę, i nie wiedzą, co się dzieje dokoła? Mamyż ich słuchać, mamyż je karmić, i zachwycać się ich piskiem? A piszczą, nieznośnie piszczą te nasze słowiki — a głuche są, kamiennie głuche! Gdy wszystkie żywioły w śmiertelnych zapasach zdają się wstrząsać wszechświatem w jego posadach, wypierzone te ptaszęta wiedzą tylko to, co im się roi w ich małych czubkach, i irytują się, że to nikogo nie obchodzi.

Mówią, że pod Trafalgarem, kiedy Nelson padał w chwili zwycięztwa, a admiralski statek hiszpański, „Santissima Trinidad,“ wylatywał w powietrze wraz ze swojemi stu dwudziestu działami, trzy myszy schronione na odłamie masztu, dobijając do brzegów andaluzyjskich wywodziły srogie żale na nieczułość ludzką, i postanowiły wyśpiewać to w *burych piosenkach*, lecz te, niestety, nie znalazły wydawcy. Kto wie, może teraz tkliwsza potomność obdarzy nas niemi na kolędę?

Kolęda! Otóż i wymówiłem słowo, które mi przypomina, że czas życzyć wesołych świąt szanownym Czytelnikom i pożegnać się z nimi w tym roku, w nadziei wzrastania i utwierdzania się w ich łasce, gdy będziemy pisali 1876. Na dziś, jako liryczny rekonwalescent, nie potrafiłbym utrzymać się dłużej na wysokości prozy kronikarskiej, i kończę.

Jan Lam.

*) Żyć, mając zero dochodu rocznie.

Przegląd naukowy

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

Dzieje o rozwoju zarodka istot organicznych, czyli dawniej tak zwana embryologja przyjęła w ostatnich czasach stanowisko, że tak rzekę, zupełnie odmienne, od tego, jakie w pierwszej połowie bieżącego stulecia zajmowała.

Przed niedawnemi czasy jeszcze odosobniona od swych sióstr przyrodniczych, którą wybrani tylko uprawiali naturaliści, specjaliści w tym zawodzie, dziś — z bezprzykładną szybkością zdobywając sobie ciężką pracą swych uprawiaczy piędź za piędzią, coraz to nową podstawę ze sposinowaconych z nią nauk, stała się prawdziwie powszechną umiejętnością, a raz dawszy impuls do badań czysto naukowych, przestała być zbiorem empirycznych tylko spostrzeżeń. A ponieważ przedewszystkiem jednak, jest ona umiejętnością rozwoju naszej istoty — nauką o nas, o człowieku: w czem tkwi jej najważniejszy postęp; nie dziwno więc, że przez to nie tylko interesować poczęła uczonych badaczy przyrody, lecz wszystkich wykształconych ludzi, z których też liczby nie mały zastęp pracowników dla siebie ściągnęła. — W ten sposób nie tylko stanowisko tej tak ważnej przyrodniczej latorośli w obec innych umiejętności zmienić się musiało, lecz także cel i zadanie, treść i granice tak się przekształciły, że nie od rzeczy pewno będzie, jeżeli czytelnicy *Tygodnia* w krótkości o jej nagłym zwrocie się dowiedzą.

Naprzód co się tyczy empirycznej drogi embryologji t. j. czysto spostrzeżeń nad objawami rozwoju organizmów, to takowa w przeciągu ostatnich 30tu lat, głównie w granicach bezkręgowych gromady zwierząt, stała się o wiele pewniejszą dla całości, niż dawniej. Przed trzydziestu laty historja rozwoju zarodka opierała się prawie wyłącznie na spostrzeżeniach, wprawdzie genjalnych, lecz dotyczących tylko klasy zwierząt bardzo bliskiej z nami — kręgowców.

Nieocenionej wartości prace Kaspra Frydryka Wolffa i Karola Ernesta Baera, najpierwsze pomiędzy wszystkiemi zajmują miejsce, na nich bowiem dopiero się opierając, zebrali niezliczoną w tej mierze ilość materjału późniejsi badacze, jak H. Rathke, J. Müller, W. Bischoff, Remak i inni; wszystkie one jednak nie dotykają wcale bezkręgowych, lub bardzo mało i niedostatecznie. I tak rzec można, iż oprócz pracy Rathkiego o rozwoju raka rzecznego z 1829 r., do 1844 r. żadnej nie mieliśmy dotyczącej bezkręgowych rozwoju. Dopiero w 1844 r. Kölliker wystąpił z pierwszą gruntowną w tej gałęzi pracą, a z późniejszych J. Müller zasłynął spostrzeżeniami nad osobnikowym rozwojem jeżowców i innych bezkręgowych. Lecz wszystkie te prace prócz zasługi żmudnych spostrzeń empirycznych, żadnej filozoficznej nie mają wartości.

W ślad za rozszerzaniem się empirycznych

podstaw dziejów osobnikowego rozwoju szło ulepszanie się technicznej strony spostrzeżeń, a przedewszystkiem wydoskonaliła się i ustaliła metoda poprzecznych przecięć embryonu w każdej jego fazie — metoda, której dziś cała ontogenja wszystkie wiadomości zawdzięcza. Remak (Polak) pierwszy ją zastosował w badaniach nad rozwojem osobnikowym kręgowych, Kowalewski dla poszukiwań nad bezkręgowemi. Zupełnie inaczej rzecz się ma z drugą stroną medalu, z drogą filozoficznego rozpoznania rzeczy, z drogą refleksji. Jeżeli przyjrzymy się bliżej tej stronie nauki o osobnikowym rozwoju, to musimy przyznać, iż strona ta o wiele słabszą jest od pierwszej, a ta niezliczona moc niby pozytywnych dowodów, na której się ona opiera, okaże się po bliższem rozpatrzeniu z małemi wyjątkami, kupą bez związku zebranych faktów, nad któremi myśliciel-embryolog, nie dotychczasowy w rzemiośle wprawny robotnik, bardzo wiele mieć będzie jeszcze do czynienia. Empirya zadała mnóstwo pytań, z których na małą tylko część znalazła odpowiedź w refleksji. Lecz ta jest właśnie główna zmiana stanowiska embryologji dawnej, względnie do dzisiejszej etnogenji i fylogenji, t. j. historji osobnikowego i rodowego rozwoju organizmów. I wszystkie też dzisiejszych embryologów prace jak: Hisa, Kowalewskiego, Häckla, Leuckarta nie są jak dawnych wyłącznem empirycznem zbieraniem materjału budowlanego, z którego przyszłość miała budować gmach wiedzy, lecz jest zarazem tłumaczeniem i wyjaśnieniem przyczyn na mocy indukcji i dedukcji filozoficznej. Dla tego też dzisiejsza historja rozwoju zarodka organizmów, potrzebując do wyjaśnienia wielu objawów pomocy tak anatomji jak fizjologji, morfologji i wszystkich przyrodniczych nauk, prawdziwą stała się umiejętnością, która rozpadać się musi na wiele działów. Ztąd też mamy: morfogonję i fizjogenję w historji osobnikowego rozwoju i morfofylję i fyzjofylję w dziejach rodowego rozwoju organizmów. Morfogenja czyli nauka o rozwoju kształtów osobników dzieli się na 1) histogenję, o rozwoju tkanek, 2) organogenję, o rozwoju układów narządów i przyrządów osobnika, 3) blastogenję, czyli o rozwoju kształtów ciała 4) kormogenję, o rozwoju całych pni, rodzin, gmin i t. p. tu należy oekologja i socjologja. Dział ten najmniej jest obrobiony. W rozwoju rodowym morfofylja, również cztery, poprzednim odpowiednie, posiada działy, z których kormofylja (historja zarodów) jest działem najlepiej obrobionym, a po niej organofylja, główny objekt porównawczej anatomji.

Podział ten jest nowy Häkla pomysłu, a datuje się odtąd, odkąd nauka o rozwoju organizmów przestała być opisującą a weszła na drogę badań i refleksji.

Poznajomiwszy czytelnika pokrótce z celem i zadaniem, jakie sobie wytknęła ta ze wszech miar zajmująca nauka, nie omieszkamy dzielić się z nim od czasu do czasu najnowszemi jej zdobyczami.

Pan Paweł Lilienfeld, wysoki urzędnik w Rossji, opierając się na najnowszych badaniach w dziedzinie nauk przyrodniczych, i z nadzwyczajną skrzętnością zebrawszy odpowiedni materjał, stara się dowieść, że społeczność ludzka jest tak realnym organizmem, jakim jest każda istota organiczna, że jest normalnym wynikiem panujących sił w przyrodzie, które wszystkiemi zjawiskami w tejże przyrodzie rządzą. W organizmie tym osobnikowi przypisuje p. L. ważność komórki. Jakkolwiek ze wszystkiem z p. Lilienfeldem bez dysputy zgodzić się nie możemy, to jednakowoż poglądy jego niektóre do głębokiego w tej mierze myślenia pobudzają, inne przedstawiają się jako bardzo naturalne wyniki dzisiejszej znajomości przyrody, zgodne z zapatrywaniami Häckla.

Narzędziem świadomości i rozpoznawania jest bezwątpienia mózg, jeżeli więc chcemy uzupełnić badania nasze pod względem życia socjalnego, musimy zastanowić się naprzód nad ważnością, przymiotami i niedostatkami tego instrumentu. To też i p. L. główną uwagę zwraca na to, że mózg ludzki nie może być uważany osobno, lecz jako spotęgowanie niejako bezwiednych zupełnie i na wpół tylko wiadomych procesów, odbywających się w całym układzie nerwowym; ten zaś ostatni znów w nieprzerwanym jest połączeniu i wzajemnie zależnym od całego organizmu, jak też i od pojedyńczych jego części. Zależność ta wzajemna na tych samych opiera się prawach, na jakich organiczne siły w ogólności nawzajem zależą od pojedynczego organizmu. Punkt wyjścia organicznego życia stanowi, jak wiadomo, pojedyncza komórka, a że układ nerwowy i mózg składają się z komórek uorganizowanych, Lilienfeld następujące wywodzi zapatrywanie, tyczące się umysłowego rozwoju człowieka: Rozwój komórek i wzajemne oddziaływanie na się układu nerwowego i mózgu jako najwyższego spotęgowania tychże komórek, na tych samych opiera się prawach, na jakich oparty jest rozwój komórek we wszystkich organicznych tworach przyrody, a z tąd, że społeczność ludzka jest organizmem, konieczny wywodzi p. L. wniosek, iż prawa socjalne identyczne są z prawami przyrody, i że między temi ostatniemi a prawami rozwoju naszej społeczności, potrójne zachodzi pokrewieństwo, potrójna zgodność panuje.

Każda komórka w organizmie ma mniej, lub więcej wyraźną skłonność, jednakowo z innemi komórkami tegoż organizmu się rozwijać — na czem polega zasada równości — jednakowego rozwoju wszystkich części organizmu. Z drugiej jednak strony każda komórka jest jednocześnie zmuszoną wskutek swojego położenia, powstania, otoczenia, a z tąd wskutek wrodzonych jej sił, lub ze stosunków jej z pewną częścią organizmu wynikających, tylko do pewnego stopnia się rozwijać, przez co inne komórki sposobność mają podnieść się do wyższego stopnia rozwoju, na czem znów polega zasada hierarchji, nierówności, poddania się niższego wyższemu, zasada wspólna dla pojedynczego organizmu jak i całej ludzkiej społeczności. Zasadzie tej zawdzięcza egzystencję swą mózg, który jest najwyżej uorganizowaną częścią ludzkiego organizmu.

Między czynnościami mózgu i społeczności ludzkiej widzi autor cały rząd analogji. W mózgu występuje w całej sile przyrodnicze prawo integracji i różniczkowania, skupiania i specjalizowania sił. Te same objawy, które widzimy wewnątrz mózgu, te same spostrzegamy w społeczności ludzkiej, która w zasadzie nie jest niczem innem, jak tylko zbiorem wyżej uorganizowanych komórek nerwowych (osobników), które przez pośrednie i bezpośrednie odruchy wzajemnie się pobudzają i rozwijają, i to zupełnie na tych samych podstawach, na jakich pojedyncze komórki w organizmie to czynią. Jeżeli śledzić dalej nie przestaniemy, to dojdziemy do rezultatu wykazującego, że cały wszechświat na wzajemnem oddziaływaniu na się, intergracji i różniczkowaniu mechanicznych sił polega. Rezultat zaś wzajemnego tego na siebie działania sił przyrody w organizmie ludzkim nazywa Lilienfeld duszą, czyli dusza ludzka (a więc i zwierzęca) ma być spotęgowanym wynikiem różniczkowania nawzajem na siebie działających sił całego organizmu, a siedliskiem jej najwyżej rozwinięta część organizmu — mózg. Definicja zaś ta tycząca się pojedynczego indywiduum zastosowana do społeczeństwa lub narodu całego, określa także tego ostatniego duszę, czyli ducha. Określenie to tłumaczy nam, dla czego w dziecku małem, lub u dziko żyjących narodów, trudno jest spostrzedz działanie ich duszy, dla czego duchowa ich działalność jest tak nieznaczną, lub zupełnie nie ma takowej, iż działające siły zbyt są niedostateczne, aby wynik z ich różniczkowania przedstawił się nam w takiej sile i świetle, w jakich widziane w zwyczajnem pojęciu stanowiłyby to, co mianować przywykliśmy duszą.

Każdy więc czy to organiczny, czy socjalny rozwój, zależy na wzajemnem na siebie działaniu odruchowem komórek; tak w ludzkim jak w zwierzęcym układzie nerwowym i mózgu, każda komórka przez inną pobudzona i następnie wyżej rozwinięta, posiada zdolność to samo działanie wywołać na innej komórce, czy to na pośredniej czy bezpośredniej drodze, a polega to na podstawie tego samego prawa, na mocy którego w społeczności ludzkiej każdy jej członek, innych pobudzić i rozwinąć może za pomocą bezpośredniego wpływu, lub przez dar mowy, rysunek, pismo i t. d. Z powiedzianego zaś wynik jest konieczny, że prawa myślenia i czucia jednakie są z prawami socjalnemi a więc z przyrodniczemi, czyli, że myślenie będące tylko ruchem cząsteczek mózgu, opiera się na niewzruszonem prawie konieczności, na którem opiera się ruch wszystkich ciał w przyrodzie. W zasadzie człowiek wypełnia na małą skalę to, co ciała w przyrodzie na daleko szerszą skalę i w daleko dłuższych perjodach czasu czynią, podlegając ruchowi i wzajemnemu na siebie oddziaływaniu. Czyli jednem słowem p. Lilienfeld dowodzi nam tożsamości prawa dla materji i myślenia! Na tem zakończamy sprawozdanie o zajmujących tych ze wszech miar poglądach Lilienfelda co do jedności sił.

Teorja ta jednak i w fizyce co raz to nowe znajduje poparcie. W tych czasach angielski fizyk Jan Crookcs ciekawem doświadczeniem, w którem światło powodem było ruchu, dorzucił cegiełkę do fundamentu, na którym ona stoi. Pzedstawił on królewskiemu towarzystwu uczonych w Londynie laseczkę z rdzenia bzowego, w próżni poziomo zawieszoną na bawełnianej nitce, która to laseczka pod działaniem promieni świetlnych obracała się ku nim. Przy zbliżeniu do niej światła gorejącej świecy, już w oddaleniu 5 milimetrów zaczynała drgać, później wahać się to w jednę to w drugą stronę, aż nareszcie obróciła się tak, iż wskutek tego nitka, na której była zawieszoną, skręciwszy się na około swej osi, wywołała opór, a w końcu z konieczności ruch laseczki w przeciwnym kierunku. Im próżnia w kloszu, do tego doświadczenia przeznaczonym, była zupełniejszą, tem skutek promieni światła był silniejszym, a przy powolnem wpuszczeniu powietrza do klosza, ruch laseczki coraz się zmniejszał, aż doszedłszy do minimum ustawał zupełnie.

Doświadczenie to wywołało refleksje. O. Reynold utrzymywał, że ruch ten powodowanym

es ulatnianiem się z powierzchni laseczki wilgoci, lub pochłanianiem przez nią takowej, lecz pręcik z aluminjum, zawieszony na platynowej nitce i umieszczony w kloszu z trudno topliwego szkła, z którego przez dwa dni pompa pneumatyczna wyciągała powietrze, i który do czerwoności był rozgrzanym, dowiodły bezzasadności twierdzenia Reynolda.

W końcu spostrzegł Crookes, że przy użyciu dwóch laseczek z bzowego rdzenia, jednej białej, drugiej poczernionej sadzami, obydwie pod działaniem ciemnych promieni cieplika odsuwają z jednakową siłą, pod działaniem zaś promieni światła nadspodziewanie laseczka poczerniona silniej była odpychaną, co go doprowadziło do zbudowania radiametru, przyrządu, składającego się z szklannego klosza, z którego powietrze jest wypompowane, a wewnątrz umieszczony młynek czteroramienny, mogący się na stalowym czopie obracać. Na każdem z czterech ramion tego młynka jest umieszczony kwadracik z bzowego rdzenia, pomalowany z jednej strony na czarno. Radiametr służy tak do mierzenia światła jak ciepła.

W dziedzinie chemji, tej nauki, która najwięcej rozwiązuje zagadek, zrobiono nowe odkrycie. Pan Lecoq przesłał na ręce Würza, członna Akademji umiejętności w Paryżu raport, iż odkrył 27 sierpnia b. r. w kopalniach siarkanu cynkowego w Pierrefite w Pirenejach nowy pierwiastek, metal, któremu dał nazwisko *Gallium*.

Z chemji przemysłowej wypada zanotować wynaleziony sposób przez G. Le Bon konserwowania krwi na dłuższy czas. — Wynalazek ten na pozór obojętny, wielkiej jest doniosłości. Zastosowanie proszku z krwi oddawna ma już miejsce w Rosji, Angli, Szwecji, gdzie często używanym jest jako pokarm dla wojsk pod nazwiskiem ekstraktu z krwi. Ekstrakt ten jednak podlegał prędszemu zepsuciu, niż suchary i ryż i dlatego szerszego zastosowania nie mógł się doczekać. Obecnie p. Le Bon przedstawił paryskiej Akademji umiejętności preparat z krwi i pepsyny bardzo strawny i pożywny, który po 18 miesięcznem zachowaniu nie zmienił swoich własności.

Z fizjologicznej chemji możemy skonstatować nowy pogląd p. M. Mensel, poparty jego doświadczeniem, dotąd niesprawdzonem, że bakterje, mikroskopijne zwierzątka tak niebezpieczne dla żyjącego organizmu, są bardzo ważnym czynnikiem w dostarczaniu tlenu zawartej w wodzie organicznej materji, i tym sposobem przyczyniają się do powstawania z niej azotanów, co prawdopodobnie główną jest przyczyną szkodliwości ich dla organizmów.

Od niejakiego czasu kwestja większego wzrostu zwierzęcia żyjącego na swobodzie, od trzymanego w niewoli, nie przestaje zajmować zoologów, którzy też licznemi doświadczeniami z wodnemi zwierzętami, dojść chcą przyczyny tego zadziwiającego zjawiska. Do zasłużonych w tej kwestji badaczy należą Leydig i Semper obok wielu innych.

Dotychczas objaśniano zjawisko to w bardzo prosty sposób. Powiadano, iż mała stosunkowo ilość wody w której zwierzę w niewoli przebywa, mniejszą ilość odpowiedniego pokarmu dla zwierzęcia zawiera, przez co to ostatnie mniej mając materjału do wytworzenia tkanek swego ciała, z konieczności nie może wzrostem dosięgnąć tych rozmiarów, jakiemi się odznaczają współbracia jego, do jednego z niem gatunku należący, którzy do obfitszej na swobodzie zasiadają uczty. I sądzono, że większa ilość pokarmu, choć w niewoli podana, powiększy wzrost więźnia. Semper po długich i licznych doświadczeniach z rakami i ślimakami stanowczo temu zaprzecza. Obok żywności, ciepła, powietrza zawartego w wodzie i objętości tej ostatniej, są jeszcze przyczyny dotąd niezbadane, które na rozwój trzymanych zwierząt w wodzie wpływają. Jakie one są — przyszłość pokaże.

TEATR.

(Z postępem, komedja w 5 aktach Kaźmierza Zalewskiego)

Jednem z licznych haseł, które wiek nowożytny zainaugurowany przez pierwszą rewolucję francuską, na swym sztandarze wypisał, jest hasło t. z. równości obywatelskiej, równości na polu praw politycznych, społecznych i ekonomicznych. Wiele walk stoczono, wiele krwi przelano, wiele pięknych praw wydano, wiele gwałtów, niesprawiedliwości i niedorzeczności popełniono i wypowiedziano, dla urzeczywistnienia tej idei. A mimo to żadna może idea nie napłodziła w świecie tyle dziwacznych wyobrażeń, nie wywołała takiego chaosu pojęć, do dziś (zwłaszcza u nas) trwającego, nie wykazywała zawsze i dziś nie wykazuje takiej sprzeczności pomiędzy teorją powszechnie wyznawaną a rzeczywistością praktykowaną —jak ta właśnie! Jedyną może namacalną korzyścią, jaką wywalczyła, jest to: że ją powszechnie uznano w teorji, zadając jej jednocześnie w praktyce kłam na każdym kroku... Przyczyną tego z jednej strony jest niewątpliwie to, że wieki tylko obalić mogą co wieki przetrwało, lecz z drugiej strony bardziej jeszcze brak w ogóle jasnego wyobrażenia o tem, co t. z. idea równości właściwie oznacza, jakie są jej przypuszczenia, jakie wyniki, jaki cel, jakie wymagania. Z narażeniem się nawet na zarzut, że tego rodzaju rozprawy przekraczają zakres artykułu estetycznego, musimy kilka uwag poświęcić tej kwestji, zwłaszcza że mogą one rzucić światło na utwor, którego rozbiór przedsięwziąć mamy.

O absolutnej równości wszystkich tak długo mowy być nie może, jak długo rodzić się będą i żyć na świecie ludzie rozmaitego stopnia przymiotów fizycznych, rozmaitego stopnia zdolności umysłowych, rozmaitej wartości moralnej i wreszcie rozmaitym zasobem środków materjalnych rozporządzający. Inaczej musielibyśmy chyba na serjo przyjąć wniosek Hejnego, wypowiedziany w czterowierszu:

Strenge Gleichheit! Jeder Esel
Sei befugt zum höchsten Staatsamt!...
Und der Löwe soll dagegen
Mit dem Sack' zur Mühle traben...

Dla tego też najżarliwsi nawet zwolennicy t. z. zasad dremokratycznych, przypuszczali zawsze istnienia arystokracji, tylko że nabycia praw do niej inny wskazywali tytuł, t. j. tytuł osobistej zasługi, a wszakże możność położenia takich zasług mniej lub więcej zawsze zawisła od wyż wymienionych czterech czynników, z któremi częścią człowiek się rodzi, a częścią własną pracą zdobyć je może. Tym sposobem cofnięto niejako wstecz pojęcia arystokracji i oparto je na powrót na podstawach, z których niezawodnie wyrość musiała z łona pierwotnych społeczeństw. I ta pierwotna arystokracja posiadała byt racjonalny i ze wszech miar uprawniony! Bezrozumną a tem samem mieszczącą w sobie zarodek przyszłego zdyskredytowania i upadku arystokracji, była dopiero zasada jej dziedziczności, oparta na drugiej, dla jej usprawiedliwienia wprawdzie koniecznej, lecz równie problematycznej zasadzie rasowej dziedziczności, którą do niedawna popierano i uzmysławiano ulubionym choć niezbyt niewybrednym przykładem koni rasowych, z których każdy rodzić się już ma z wszelkiemi możliwemi przymiotami, wymaganemi od dobrego konia i tylko wyrobić je w sobie potrzebuje, podczas gdy koń nierasowy wyjątkowo tylko jakby przez łaskawy figiel natury zdolnościami takiemi obdarzonym być może.

Podobnie i ludzie rasowi rodzić się mieli z gotowem uzdolnieniem do spełniania wszelkich możliwych wielkich rzeczy, byle tylko chcieli. Tymczasem zdarzało się dość często, że niektórzy z nich jak się zdaje, nie mogli, a niektórzy nie chcieli. — Byli jednak i tacy, co mogli i chcieli, i ci ratowali jako tako zasadę. Tak powstała arystokracja rodowa. Na zewnątrz powagę swą utrzymywała blaskiem potęgi materjalnej, odrębnemi przywilejami i prawami zapewnionej, a usankcjonowanej niejako sakramentalnym nimbusem tradycji... Wierzono w ten nimbus, najwięcej dla tego, bo otaczał cielca - złotego... Jedni i drudzy, czczeni i czciciele, oszukiwali się wzajemnie, a bardziej jeszcze oszukiwali siebie samych — lecz czynili to w dobrej wierze. Wierzono wtedy istotnie w to, co wyznawano! Lecz każdy obłęd musi się wreszcie rozwiać, oprzytomnienie zaś z obłędu jednego następuje najczęściej wtedy, gdy się popada w drugi... Ludzkość podobną jest wówczas do człowieka długo ubóstwiającego jedną kochankę, który nagle zakochuje się w drugiej. W tej samej chwili pryska stary urok; dawne bóstwo, odarte z urojonego majestatu, stoi przed jego oczyma w całej swej nagiej, pospolitej nicości, pojąć nie może dawniejszego swego zachwytu i wstydzi się go, a miejsce dawnego uwielbienia zastępuje sąd tem surowszy, tem bezwzględniejszy, tem niesprawiedliwszy... Taki sam los spotkał arystokrację rodową. Mszczono się na niej za to, że tak długo w nią wierzono... W dawnem bożyszczu nie widziano odtąd tylko próchno. Urągano mu tak długo, aż wreszcie samo bożyszcze straciło wiarę w siebie... I teraz nikt już nie wierzy w jego boskość: ani ono samo, ani dawni jego wielbiciele!... A mimo to jednak — tak wielką jest moc każdego przesądu i tak nieograniczoną ludzka ślepota i głupstwo — że jedni przez śmieszną próżność stroją się w strzępy tego samego wypełznięto majestatu, którym w gruncie gardzą, a drudzy znając tę słabość i spekulując na nią, z uśmiechem szyderczym chwytają każdą sposobność by te łachmany, których lichotę najlepiej sami znają, jak najdrożej sprzedać... I tak dawna legenda zamieniła się dziś w równie śmieszną, jak wstrętną — farsę...

Taką myśl wypowiada komedja p. Zalewskiego *Z postępem*. Arystokrata rodowy hr. Kobylański (pan Zboiński) przez nieuczciwą spekulację arystokraty pieniężnego barona Silbera (p. Fiszer), odarty z całego majątku, widzi świetność swego rodu zachwianą i zniszczoną, na podtrzymanie jego blasku nie pozostało mu nic prócz tytułu i tradycyj, co w czasach jak nasze „zmaterjalizowanych" niestety nie wystarcza. Duma rodowa nie pozwala mu biednego lecz zacnego i zdolnego inżyniera, Zdzisława Krzyskiego, (p. Ładnowski) przyjąć za zięcia, chociaż córka go kocha, lecz ta sama duma rodowa nie przeszkadza mu jednocześnie namawiać syna, Artura (p. Woleński) do ożenienia się z córką bogatego dorobkiewicza, by posagiem jej ozłocić na nowo tarczę herbową Kobylańskich. To wywołuje, Arturowi owe gorzkie słowa na usta: „Wy sami nie wierzycie w to co wyznajecie, i owa świętość imienia jest u was pierwszą rzeczą, którą macie do sprzedania..." Gorzka tkwi satyra w tych słowach, jak w całej komedji, która i pomysłem i główną postacią hr. Kobylańskiego przypomina słynną komedję Juljusza Sandeau pt. *Helena de la Seiglière*, co jednak bynajmniej nie uwłacza jej oryginalności. Jakkolwiek niejednokrotnie temat ten obrabiany był i w komedjach i w powieściach, i nastręczał gotowy szablon, autor uchwycił go samodzielnie, sięgnął na nowo do dna kwestji, i z najwłaściwszej przedstawił ją strony. To cośmy zauważyli w komedji *Przed ślubem*, to samo i w tym utworze: że autor rad bierze za temat zagadnienia społeczne, znajome wszystkim, a tem samem wszystkich interesujące, lecz bierze je po swojemu i przedstawia po swojemu, z prawdą na wskroś realistyczną, bez żadnych obłudnych zastrzeżeń, bez listków figowych.... A jeśli mimo to szczerość ta i bezwzględność nikogo nie rażą, to dla tego, że je łagodzi przebijająca w nich miłość ludzi i społeczeństwa, którego błędy i śmieszności karci z uśmiechem pobłażliwości, wyrozumiałości i dobroci pełnym, i to właśnie utworom tym nadaje pewien wdzięk poetyczny i szlachetną powagę. Przemawia z nich nie przemądry doktryner, lecz człowiek znający głęboko świat i ludzi, który bierze ich takimi, jakimi są, i takimi ich kocha, chociaż nad nimi boleje i radby ich widzieć lepszymi...

Tak pojmować zadanie komedji znaczy: dobrze je pojmować!

Na pochwałę niniejszej komedji musielibyśmy powtórzyć wiele uwag wypowiedzianych już o komedji *Przed ślubem*, od której jednak utwór ten, o wiele od niej wcześniejszy, także i o wiele niżej pod względem technicznym stoi. W tym utworze nie zdołał jeszcze autor władać przedmiotem i pokonywać go z tą wprawą mistrzowską, jaką w późniejszym rozwinął. Mimo to i tu znajdują się rzeczy godne wielkiej pochwały, jak np. całe ostatnie dwa akty, odznaczające się delikatnością i prawdą wykonania, akcją ograniczającą się prawie tylko na djalogu, a jednak w wysokim stopniu zajmującą, logicznem przeprowadzeniem sytuacyj i charakterów, i zręcznem rozwiązaniem intrygi. Pierwsze dwa akty tworzące ekspozycję, są nieco rozwlekłe, w 3cim akcie wydaje mi się naciągniętą scena na balu, w której Aniela oświadcza się sama Krzyskiemu, choć w toku rzeczy jest ona może potrzebną, jednak w przeprowadzeniu wygląda tylko na efekt, i to dość już zużyty. Co się tyczy zarzutu, który czyniono autorowi, że za scenę działanie obrał Lwów, sądzimy, że uczynił to tylko dlatego, ażeby się rzecz oficjalnie nie działa w Warszawie, gdzie jednak *de facto* się dzieje. Łatwo zrozumieć powody, które mogły skłonić autora do tak niewinnego fortelu. Postacie sztuki są wiernie odwzorowane z życia. Główna postać hr. Kobylańskiego, dobrze nakreślona, blado a właściwie źle była odegraną. Szkoda, że rola ta najtrudniejsza i najbardziej charakterystyczna odpowiedniejszego nie znalazła przedstawiciela. Panna Deryng w roli Anieli była niestety znów bardzo afektowaną, a p. Chęcińska w roli Emmy nie odpowiedziała najskromniejszym nawet wymaganiom. Pp. Woleński, Ładnowski, Fiszer i Zamojski wywiązali się ku ogólnemu zadowoleniu ze swego nietrudnego zresztą zadania. Pani Zimajer w roli małego nicponia Polikarpa była istotnie niezrównaną. Inne role nie dają materji do wzmianki. Całość przedstawienia wypadła jak zawsze starannie. *Ar-y.*

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— **Kolizje obowiązków. Szkic psychologiczny Chorośnickiego. — Kraków. — Nakładem Otremby. 1876.**

Wśród ogólnej powodzi powieściopisarskiej, tylko taka nowość może budzić zajęcie, która jaśnieje oryginalnością pomysłu i szczęśliwą charakterestyką — która jest wolną od zużytych form i szablonów. Wyjątkowo nazwał autor powieść powyższą szkicem psychologicznym, a celem jego było dać nam obraz serca ludzkiego w różnorodnej grze życia powszedniego, odźwierciedlić jego namiętności, porywy, walki i zwątpienia wśród nieuniknionych kolizyj obowiązków sumienia. Głównym bohaterem jest Gustaw Charakter jego połowiczny; ten Gustaw jest w zdaniach moralizujący, zasady uczciwości i wiary głosi tak wspaniale, jakby w parlamencie przemawiał, a w życiu realnem, w czynach zwłaszcza, potęga jego moralna maleje, zdolnym jest nawet do poświęcenia, lecz czyni to raczej z niewytłumaczonego kaprysu niż z szlachetności głoszonej światu. Na grobie miłości Anny, duszy najczystszej, splata wiano ślubne ze Stefanią, trzpiotem i figlarzom, aby ją tylko przed światem zrehabilitować. Taki charakter jak Gustawa jest negacją charakteru, bo nie ma nic dodatniego w sobie, coby posłużyć mogło na jego usprawiedliwienie, mimo sztucznie przez autora obmyślanych kolizyj obowiązków. Jestto postać najsłabsza, niczem nieusprawiedliwiona, błędna i nienaturalna, a ponieważ punkt ciężkości opowiadania spoczywa na Gustawie, którego autor sztucznością a nie prawdą osłonił, przeto cała powieść straciła wiele na rzeczywistej wartości. Osoby grupujące się około Gustawa, chociaż niezbyt jaskrawemi kolory szkicowane, dzięki wykończeniu swoich charakterów i naturalności, są bardzo sympatyczne. Anna, apoteozowana uczciwość niewieścia; Józia jej siostra, rutynowana aktorka w życiu, a później i na deskach teatralnych; pani Liwall ciocia powiatowa, meduza sercem i językiem; Rydynk, nieszczęśliwy małżonek frymarczącej kobiety Józi, mąż wiekiem chorobliwy, duszą i czynem bochaterski i zacny, są to uboczne tej powieści postacie, oddane z tryskającą prawdą, życiem i talentem; autor umiał wlać w nie tyle humoru i naturalności, i tak je zajmującemi uczynić, że czytelnik śledząc je pilnie, na głównego bohatera powieści z pobłażliwem zapomnieniem spogląda. Prócz postaci Gustawa, całość niniejszej pzwieści przedstawia się nam pod względem układu i formy wcale udatną, a jeżeli autor otrząśnie się z wad, któreśmy mu wytknęli, z czasem może nas obdarzyć powieścią prawdziwie dobrą.

— **Kalendarz gospodarski dla kobiet na rok 1876 ułożony staraniem redakcji „Przeglądu Tygodniowego.“ Warszawa—1876.**

Kalendarz ten wychodzi drugi rok. W pierwszym roku zaraz po wyjściu został w całości wyprzedany. Cokolwiek pojawi się nowego w pedagogice, hygienie, gospodarstwie itd. wszystko to znajdziecie w tym kalendarzu, nader staranne opracowanym. W oddziale hygienicznym umieszczono doskonałą rozprawę Dra Dobrskiego o pielęgnowaniu chorych; w dziale wychowawczym rozprawkę: „Poglądowy wykład Arytmetyki dla dzieci“ i „Gimnastyczne ćwiczenia bez przyrządów“ z licznemi ilustracjami. W tym roczniku wprowadzono także osobny dział poświęcony pracy kobiecéj, a prócz tego naukę kroju bielizny i sukien, która prostotą wykładu niejeden zachwalony podręcznik zastąpi. W dziale literackim mamy trzy życiorysy powieściopisarek polskich wraz z ich portretami: Elizy Orzeszkowej, Walerji Marrené (Morżkowskiej) i Marji z Brzezinów Sadowskiej (Zbigniew) wraz z oceną krytyczną ich utworów. Kalendarz niniejszy szczerze polecamy uwadze naszych Czytelniczek.

— **Kalendarz na rok 1876. Kolenda dla gospodyń przez autorkę 365 obiadów. Warszawa — 1875.**

Kalendarz ten jest o połowę mniejszy od Kalendarza wydanego staraniem Redakcji „Przeglądu Tygodniowego.“ Na czele pomieszczono: Streszczoną teorję gospodarstwa domowego w odczycie mianym w zakładzie nauk, sztuk i rękodzieł dla kobiet przez L. Ćwierczakiewicz d. 28. stycznia 1871 r.

Nowości

podawane przez księgarnię

SEYFARTA I CZAJKOWSKIEGO

we Lwowie.

Czepeliński Flor. — Sława. Opowiadanie historyczne z dziejów starożytnych: Grecya. Dla młodocianego wieku, ozdobione 29 wizerunkami słynnych ludzi, w 8, w oprawie Zlr. 2. 25 ct.

Historya kraju rodzinnego dla klas niższych ck. szkół średnich galicyjskich przez L. D. L. 80 ct.

Jezierski Michał. — Córka morza. Powieść. Zlr. 1.

Müller Eugeniusz. — Młodość sławnych ludzi. Przekład J. Chęcińskiego, z 23 rycinami: w oprawie Zlr. 2.

Orzeszko Eliza. — O wpływie nauki na rozwój miłosierdzia, w 8ce 40 ct.

Pettinger. J. Bell. — Ruchy zwierzęce, czyli chodzenie, latanie i pływenie wraz z rozprawą o aeronautyce. Przekład z angielskiego prof. Dr Nawrockiego w 8ce zlr. 2.50 cnt.

Po dziesięciu latach, w 8ce 64 cnt.

Steger Fryderyk. — Podróże Mungo Parka po Afryce, wedle najnowszego niemieckiego objaśnienia, w 8ce Zlr. 1.50 cnt.

Stella Sawicki, Dr. J. — podróż po Hiszpanji, w 8ce Zlr. 1. 80 cnt.

Szczęść Boże. Przemówki ślubne przez X* — 20 ct.

Wielkopolski Kucharz. — 600 praktycznych przepisów kucharskich z własnego doświadczenia, jako to: Przepisy smacznych a tanich potraw, smażenia konfitur, przysmaków i ciast, przyrządzenia lodów, bresmów, galaret, deserów, kanserwów i wędlin, oraz sekreta gospodarskie etc. etc. zebrał Maryan. w 8ce Zlr 1. 50 ct.

Wojcicki, H. Wł. Niewiasta polska w początkach naszego stulecia 1800 — 1830 r. — w 8ce Zlr 2.—

Yonge Miss. — Dziedzic z Redcliffe. Przekład Marji. J. — 2 ty. w 8ce Zlr 3. 20 ct

Zacharyasiewicz, Jan. — Sumienny Konkurent. Studyum karnawałowe. w 8ce Zlr 1. 50 ct.

Zwycięztwo Heleny. Powieść przez Z. H. w 8ce Zlr 1.70ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Tom VII powieści Józefa Dzierzkowskiego opuścił właśnie prasę i rozsyłka już się rozpoczęła. Zawiera on powieści następujące: „Wieniec cierniowy“ —„Wigilja Bożego Narodzenia“ — „Dwaj bliźnięta“ — „Skarbiec“ — „Żeby choć raz w życiu.“ Z powodu że kilka prac Dzierzkowskiego było umieszczonych w pismach, które oddawna są wyczerpane, wydanie tomu VIII i ostatniego musiało się opóźnić. Tom VIII wyjdzie jednak niewątpliwie w Styczniu. — Zwracamy uwagę naszych czytelników, że edycja powieści J. Dzierzkowskiego należy do r. 1875; w roku zaś 1876 i następnym będziemy dołączali w pierwszem zbiorowem wydaniu dzieła T. T. Jeża (Z. Miłkowskiego). Tom I. dzieł Jeża, zawierający powieści: „Handzia Zahornicka“ i „Szandor Kowacz“ wyjdzie już dnia 15 stycznia r. 1876. Spodziewamy się, że Czytelnicy nasi odnawiając teraz przedpłatę przyszłą także zamówienie na dzieła Jeża, które najgoręcej możemy im polecić.

— Nakładem naszej drukarni wyszedł piękny kalendarzyk kieszonkowy na rok 1876, do którego została dołączona najpotrzebniejsza część informacyjna. Kalendarzyk tak jest ułożony, że można go nosić w pugilaresie. Cena egzemplarza 20 cent. Zamówienia z prowincji przyjmuje zarząd drukarni *Dziennika Polskiego.*

— W „Geografji Guthego“ która niedawno wyszła w Warszawie w przekładzie polskim, znaleźliśmy takie curiosum: Lwów leży nad Pełtwią i dla tego jest narażony na częste powodzie! Że też panowie tłumacze nie postarali się o lepsze szczegóły odnoszące się do ziem polskich! Wkrótce podamy obszerną krytykę tej „Geografji“ pióra Dr. E. Janoty. Czytelnicy przekonają się z niej, jakich plagjatów na pracownikach polskich dopuszczali się tłumacze, aby uzupełnić dzieło Guthego.

— P. Powidaj, były redaktor „Przeglądu Polskiego“ wystąpił w tem piśmie z artykułem, w którym usprawiedliwia głośny pamflet p. Walewskiego. Notując ten smutny fakt, poprzestajemy na uwadze, że Stańczykiem musiało się coś w głowach pomącić. Człowiek trzeźwo myślący nie ośmiesza się tak bez potrzeby.

— Z Paryża otrzymaliśmy odezwę, w której jest mowa o potrzebie założenia na emigracji czasopisma polskiego. Komitet złożony z ośmiu osób zajmuje się zebraniem funduszów na to wydawnictwo.

— Szereg historycznych powieści J. I. Kraszewskiego, ma się rozpocząć trzy-tomową powieścią, pt. „Duch Lechji.“

— Nowy przekład „Iliady“ Homera z oryginału greckiego rozpoczął Feliks Jezierski, znany tłumacz Złotej Legendy Longfellowa. Przy Odyssei L. Siemińskiego przekład Iliady był wielce pożądany. Próby tego tłumaczenia mają się ukazać w „Bibliotece Warszawskiej.“

— Statystyka królestwa Polskiego ułożona przez P. Zaleskiego, znanego z moralnych prac tego rodzaju, ogłaszanych w „Ekonomiście,“ jest już od dwóch miesięcy pod prasą.

— Życiorys lorda Bacona, wyjęty z „Critikal and historical essays“ Macaulay'a przekładany jest obecnie na język polski.

— P. Bolesław Syrewicz, artysta rzeźbiarz pracuje obecnie nad kamiennym pomnikiem dla generała b. wojsk polskich Madalińskiego.

— Prof. Kotlarzewski wydał w Pradze dwa nowe dzieła pt. „Rzecz o Ottonie bamberskim“ oraz „Starożytności Prawosławian baltyckich.“ Dzieła te są ustępami wielkiej pracy Kotlarzewskiego pt: „Materjały do słowiańskich dziejów starożytności.“

— Opis wyprawy podbiegunowej austrjackiej z r. 1872, pod przewodnictwem Weyprechta i Payera odbytej, wyjdzie w przekładzie polskim nakładem M. Glücksberga.

— P. Adam Wikszemski ogłosił w Dorpacie rozprawę doktoryzacyjną w języku niemieckim o szaleju jadowitym (Cicuta virosa) pt. „Beiträge zur Kenntniss der giftigen Wirkung des Wasserschirlings.“

— Z Kairu donoszą o śmierci podróżnika Munzingera, który został zamordowany; niewiadomo jednak gdzie.

— W wiedeńskim Burgtheater dają z powodzeniem tragedję Wilbrandta „Nero.“ Efekta sceniczne są wielkie, a wystawa nadzwyczajna.

— Londyńska *Times*, która ma już własny drut telegraficzny między Londynem a Paryżem, stara się teraz kupić drut drugi z Londynu do Berlina.

— P. Zygmunt Librowicz, Warszawianin i współpracownik kilku pism warszawskich, napisał w języku niemieckim oryginalną naukowo-humorystyczną rozprawkę p. t. „Uiber den Kuss und das Küssen.“ Rozprawka ta drukuje się obecnie w piśmie ilustrowanem lipskiem „Das Neue Blatt“.

— W Paryżu znany autor Lacroix piszący pod pseudoninem: Le bibliophile Jacob, wydał książkę, w której opowiada komiczne figle dwóch sławnych, nałogowych dowcipnisiów: oficera hr. de Piles, i bogatego fantasty Grimod de la Reyniere, którzy złośliwością swych konceptów i zuchwalstwem w mistyfikowaniu najrozmaitszych ludzi, rzucali postrach formalny na paryskie towarzystwo. Lacroix poświęca swoją zabawną książkę Polce, Pani Aleksandrynie Ciechanowieckiej, wyrażając w pochlebnych słowach dla niej swe uwielbienie.

— Instytut francuski odbył doroczne posiedzenie pięciu połączonych Akademij. Jak zwykle rozpoczęło je słowo współczucia dla członków zmarłych w przeciągu roku. Rozdawano następnie nagrody. Największą z nich, fundacji cesarza Napoleona III, w ilości 20.000 franków, otrzymał Paweł Bert, profesor Sorbony za naukową pracę: „O wpływie powietrza na fenomena życia.“ To dzieło stawia uczonego profesora w rzędzie najpierwszych fizjologów tej epoki, którzy odkryciami swemi posunęli naprzód naukę.

— Wielki dykcjonarz Littrego wyszedł w nowem wydaniu zredukowany do mniejszych rozmiarów. W tem skróconem wydaniu dykcjonarz mieści się w jednym tomie o 1300 stronicach. Pozostały w nim rodowody wyrazów, stare przenośnie, przysłowia i przypowieści, słowem cała historyczna strona języka. Pracy tej z upoważnieniem autora dokonał prof. Beaujeau. Celem tego streszczenia było czynić go dostępnym dla ogółu, a szczególnie dla szkół w zastępstwie przyjętego dotąd słownika Noela.

— Armand Dubarry, francuz, który długi czas przebywał we Włoszech, napisał dzieło w jednym tomie pod tytułem: „Rozbcje we Włoszech“ od najdawniejszych czasów aż do dni naszych. Od epoki mitycznej, kiedy półbogowie porywali trzody śmiertelnym, od porwania sławnego Sabinek aż do czasów dzisiejszych, kreśli nam żywemi barwy te dzieje,

— W Lipsku wyszedł przekład „Snu“ Zygmunta Krasińskiego, p. t. „Ein Traumgedicht,“ Uebersetzung aus dem Polnischen des Sigismund Krasiński (Berechtigt von den Erben des Verfassers) Leipzig. In Commision bei Th. Stauffer, 1875. Przekład jest wierny i pięknym językiem dokonany.

— Piśmiennictwu naszemu, tak ubogiemu dotąd w dziale ściśle naukowym, przybywają nowe i poważne siły w osobie p. Michała Girdwojnia, autora „Anatomji pszczoły,“ które to dzieło niedawno ukazało się w Paryżu w wydaniu polskiem i francuskiem, i wkrótce potem zostało przetłumaczone na język angielski i niemiecki. Pan Girdwojń, widocznie zamiłowany w studjach przyrodniczych, wymagających sumiennej i ścisłej pracy, zajął się już studjowaniem hodowli, a zarazem i budowy niektórych rodzajów ryb, dotąd u nas sztucznie nieprodukowanych, a których hodowla z pożytkiem dla kraju wprowadzoną by być mogła. Przedmiotem badań jest przeważnie łosoś, dla bliższego zaś poznania natury tej ryby, sposobu jej życia i warunków, jakich do egzystencji swojej potrzebuje, p. Girdwojń zwidził wszystkie celniejsze zakłady sztucznej ich hodowli na Szląsku, w Alzacji a nawet w Anglji, gdzie w jednym z takich zakładów spędził kilka miesięcy dla praktycznego obznajomienia się z przedmiotem. Niezależnie od tego w Collége de France, w laboratorjum hodowli ryb poświęconem, słuchał czas jakiś wykładów i pracował pod kierunkiem profesorów Chautrou i Gerber. Owocem tych starannych studjów będzie zapewne nowa praca naukowa, równej doniosłości co i „Anatomja pszczoły,“ a być może, że p. Girdwojń zechce też swoją znajomość rzeczy poświęcić dla praktycznego rezultatu podźwignienia w kraju, w stanie smutnego upadku będącego, gospodarstwa rybnego. P. Girdwojń znajduje się obecnie w Warszawie.

— W paryskim teatrze Wodewillu podobał się powszechnie jedno-aktowy obrazek dramatyczny wierszem, poety genewskiego, Mare Monier, pod tyt. „Madame Lille;“ obrazek to prosty ale sympatyczny, pełen świeżości i wdzięku.

— Znany uczony europejski, autor przekładanego na obce języki dzieła: „Anatomja ciała ludzkiego,“ dr. Ludwik Hirschfeld, na własne żądanie uwolnionym został od obowiązków profesora anatomji w warszawskim uniwersytecie, którą to katedrę zajmował przez lat kilkanaście.

— Wyszła z druku broszura M. Władysława Dębickiego p. t. „O zasadniczych różnicach psychicznych pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem.“ Szkic lingwisto-psychologiczny.

— Studenci cesarskiego uniw. warsz. tłumaczą dzieło Adolfa Pinnera p. t. „Repetitorium der anorganischen Chemie mit besonderer Rücksicht auf die Studierenden der Medizin und Pharmazie.“ Chemji nieorgaunicznej, na najnowszych zasadach opartej, nie posiada dotąd nasza literatura.

— Rozgłośne pamiętniki Hektora Berlioza, które rozbudziły silne zajęcie w kołach muzykalnych, wyjdą niezadługo w polskim przekładzie. Tłumaczy je Anastazy Turski.

— Pod tytułem „Avant l' Exil“, Wiktor Hugo wydał w obszernym tomie wszystkie mowy swoje tak literackie jak polityczne z dziesięciu lat publicznego zawodu, od roku 1841 do chwili, kiedy z ustanowieniem cesarstwa na długo opuścił Francję. Jest to pierwszy tom wielkiej publikacji, nacechowanej po większej części charakterem politycznym. Drugi tom „Pendant l' Exil“ nie wydany dotąd, obejmować będzie wszystkie odezwy wyrzeczone na obcej ziemi, bądź na wyspie Guernsey, bądź w Belgji. Trzeci tom „Aprés l' Exil“ zawierać ma publiczne przemówienia i proklamacje, słowem wszystko co wyrzekł poeta od powrotu z obczyzny.

— W Petersburgu profesor Iversen wydał: „Icones familiae ducalis Radivilianae“, w formacie wielkiego arkusza. Na początku mieści się rodowód familji Radziwiłłowskiej, a następnie 165 portretów Radziwiłłów. Są to odbicia z blach starych. Egzemplarz kosztuje rs. 25.

Zgromadzenie przyjaciół Sztuk pięknych we Lwowie.

— Doroczne walne zgromadzenie Towarzystwa przyjaciół Sztuk pięknych, które się odbyło w niedzielę, bardzo było ożywione. Po godzinie 11ej zapełniła się sala ratuszowa akc onarjuszami, a prezes towarzystwa Leszek hr. Borkowski zagaił posiedzenie świetną jak zwykle tak pod względem treści jak i formy mową. Brak miejsca nie pozwala nam podać tutaj tej mowy choćby w streszczeniu. Dyrekcja Towarzystwa powinna mowy swego prezesa, którego teraz tak rzadko publicznie mówiącego słyszeć można, a które zawierają tyle wielkich i świeżych myśli, ogłaszać w swoich sprawozdaniach. Znakomitą mowę p. Borkowskiego przerywało zgromadzenie uniesiono gorącem słowem mowy grzmiącemi oklaskami. Sekretarz Towarzystwa p. Dzbański odczytał następnie protokół z ostatniego posiedzenia, członek dyrekcji p. Karol Widman, sprawozdanie z czynności Dyrekcji z roku ubiegłego, a p. Błotnicki w imieniu komisji lustracyjnej przedstawił wniosek by walne zgromadzenie udzieliło Dyrekcji absolutorjum za lata 1872 do 1874, co też bez dyskusji uchwalono. Po załatwieniu tych czynności zabrał głos członek Dyrekcji p. Henryk Rodakowski i w bardzo pięknej, gorącej mowie zażądał od Towarzystwa, aby prócz danych już 50 zlr. na zakupno obrazu Matejki „Unja Lubelska,“ ofiarowało jeszcze 300 zlr., a to z funduszu, który wydzielony zostanie na zakupno obrazów do losowania przeznaczonych. Wniosek swój poparł mowca tak gorąco, tak silnemi na statutach Towarzystwa i jego posłannictwie. wreszcie na wyjątkowych naszych stosunkach opartemi argumentami, że zdawało się, iż zgromadzenie, które tak serdecznemi przyjęło mowę oklaskami, przyjmie sympatyczny jego wniosek bez rozpraw. Sprzeciwił się jednak wnioskowi p. Dzbański sekretarz i p. Kulczycki dyrektor Towarzystwa. Pierwszy żądał pod pozorem, że uchwalenie wniosku p. Rodakowskiego byłoby wyrządzeniem krzywdy (?) ubogim artystom monachijskim, akcjonarjuszom, nieobecnym na zgromadzeniu itp. przejścia nad wnioskiem do porządku dziennego. Drugi opierał się datkowi z powodu braku funduszów i zgadzał się jedynie na dodanie jeszcze 50 zlr. Należytą odpowiedź dali oponentom pp. Edward Błotnicki i Dr. Popiel, poczem zgromadzenie znaczną większością głosów uchwaliło wniosek p. Rodakowskiego. Nastąpiły wybory do Dyrekcji i komisji lustracyjnej. Do Dyrekcji weszli z dawnych członków p. Greliński, jako nowi dyrektorowie pp. Błotnicki, Dr. Weigel i Franciszek Tepa, zastępcą dyrektora obrano p. Marconiego, a do komisji lustracyjnej wszedł w miejsce p. Błotnickiego, Dr. Fried. W końcu przystąpiono do losowania zakupionych na ostatniej wystawie obrazów.

Archeologja.

— Dzięki gorliwym zabiegom Dr. St. Krzyżanowskiego, który prawie cały majątek poświęcił na cele archeologji, zawiązało się we Lwowie Towarzystwo archeologiczne, które wypracowawszy statuta, przedłożyło je Namiestnictwu do zatwierdzenia. Założycielami są: Dr. St. Krzyżanowski, Ks. Ufryjewicz Dr. Szaraniewicz Wojc. hr. Dzieduszycki i Dr. Burzyński. — Towarzystwo zamierza zwrócić przedewszystkiem uwagę na zabytki archeologiczne znajdujące się po naszych cerkwiach. — Komisja archeologiczna Akademji krakowskiej, znajdzie w Tow. lwowskiem dzielnego pomocnika.

— Z Kissingen donoszą, że tamże oprócz pięknego zbioru numizmatów polskich, znajduje się róg do prochu, z białej kości przepysznie rzeźbiony, własność króla Zygmunta III. Z jednej strony jest popiersie tego monarchy, z drugiej herby wpośród arabesków; przytem buława z takiejże kości, na której herby pokazują do jakiej narodowości należała. Wreszcie róg myśliwski czyli trąbka równie z białej kości z herbami i popiersiem króla Augusta II. W około napisy: Fridericus Augustus Rex Poloniae M. D. L., pod spodem 1697. Po bokach wyrzeźbione polowanie z gończemi na dzika i oddzielnie na jelenia.

— „Kijewlanin“ donosi, że muzeum historyczne w Moskwie ma otrzymać w darze z Kijowa kilka obrazów spółczesnych z epoki Dymitra Samozwańca. Między innemi są tam dwa portrety, w połowie figury, Dymitra i Maryny, z których pierwszy rysami twarzy różni sie niezmiernie od znanych dotychczas jego portretów. Dwa inne obrazy przedstawiają pochód koronacyjny i obrzęd koronacji. Ciekawemi one będą ze względu na przedstawione historyczne osobistości, które odegrały mniej więcej ważne role w tej epoce dziejów Rossji i Polski.

Odkrycia i zjawisko natury.

— Prof. Palmieri wynalazł nowy przyrząd, t. z. diagometr, służący do szybkiego badania olejów i tkanin za pomocą elektryczności. Podług wynalazcy aparat ten wskazywać będzie gatunek oliwy, odróżniać oliwę od oleju, wskazywać, czy oliwa, chociażby najlepszego gatunku, nie została zmieszaną z olejem, odróżniać gatunki oleju, nakoniec wskazywać będzie obecność bawełny w tkaninach wełnianych i jedwabnych. Neapolitańska izba handlu i sztuk pięknych wyrażając zupełne uznanie dla wynalazku prof. Palmieri'ego ogłosiła dokładny opis aparatu z instrukcją, jak go należy używać.

— Profesor Palmieri donosi z Neapolu, że Wezuwjusz znowu zaczyna grozić. Wewnątrz wielkiego krateru, który się utworzył podczas ostatniego wybuchu, utworzyło się znaczne zagłębienie, z którego czarny dym się dobywa. Profesor mniema, że nowy wybuch wkrótce nastąpi.

— Kości Zyżki, bohatera hussyckiego, zmarłego w r. 1424 i pochowanego w kościele farnym miasta Czasławia w Czechach, przypadkowo znaleziono niedawno wraz z innemi przy restauracji rzeczonego kościoła. Trudno jednakże z pewnością oznaczyć, która z wydobytych trumien zawiera właśnie śmiertelne szczątki zwycięzcy z pod Kutnej-Hory i rycerza sztandaru Jagiełłowego z pod Grunwaldu i Tannenbergu.

ROZMAITOŚCI.

— Wielekroć już próbowano wynaleźć prawidła na podstawie których możnaby pamięć wyćwiczyć i rozwinąć, chciano nawet utworzyć z tego specjalną umiejętność, mnemonikę. Dotychczas skutek nie odpowiedział oczekiwaniom, i prawie wszystkie metody niepraktycznemi się okazały. To jest i pozostało faktem, że pamięć za pomocą systematycznych ćwiczeń można wzmocnić; w ogólności jednak jest ona szczęśliwym przyrodzonym darem, jak wiele innych przymiotów i talentów. Dzieje przechowały nam wielką obfitość przykładów silnej pamięci. Sądzimy, że interesującem będzie jeżeli ich cząstkę tutaj przytoczymy. I tak, Temistokles posiadał taką wyborną pamięć, że pragnął nabyć sztuki — zapominania! Mitridates, król Pontu, umiał nazwać każdego z 80000 tys. żołnierzy swojej armji po imieniu. Juliusz Cezar dyktował siedm listów jednocześnie. Seneka powtarzał dwa tysiące słów w tym samym porządku, w jakim mu je przeczytano i co więcej, sto wierszy w porządkn odwrotnym. Jezuita Menestrier, znany jako heraldyk i historyk, miał osobliwy dar pamięci. Królowa Krystyna Szwedzka, rozkazywała w jego obecnosci wymówić i zapisać dwieście najbałamutniejszych słów, jakie tylko wymyśleć się dały, a Menestrier powtarzał je natychmiast w dawnym porządku i na wyrywki. Sławny Justu's Lipsius obowiązywał się powtórzyć całego Tacyta słowo w słowo, choćby nawet kto nad nim stał z dobytym sztyletem i gotów go przebić za najmniejszą pomyłkę. Uczona Wenecjanka Modesta Pazzi, zwana inaczej Moderata Forsa, potrafiła po wysłuchaniu kazania powtórzyć je natychmiast dosłownie. Znany uczony Hugo Grotius, uczestnicząc pewnego razu przy apelu pułku piechoty, spamiętał nazwiska wszystkich żołnierzy. Brendel, doktor i profesor w Getyndze, umiał całą Eneidę na pamięć i to nawet w porządku odwrotnym. Lord Karteret, znany mąż stanu i namiestnik Irlandji, mógł cały Nowy Testament od pierwszego słowa Mateusza aż do ostatniego wyrazu powtórzyć, jakgdyby czytał z książki. Osobliwą komplikacją tego daru z wyobraźnią i sztuką naśladowania był obdarzony niejaki Nostitz. Trzeba mu było nie więcej jak dwa razy tylko być na jakiem widowisku, ażeby każdą z niego rolę, z jej charakterystycznemi odcieniami bez niczyjej pomocy powtórzyć. Ale już prawdziwym cudem pod tym względem był licencjat Duchet, tłumacz przy nadwornej i narodowej bibljotece w Monachjum. Popisywał się on publicznie w 1804 r. w Lipsku w Muzeum, a następnie w Akademji Umiejętnosci, przed członkami tych obu instytucyj. Recytował z pamięci dosłownie treść 24 ksiąg Biblji, składających się z sześciuset rozdziałów. i to wedle rubryk każdego rozdziału w porządku, lub też rozdziałami i wersetami na wyrywki. Żądał od słuchaczów, ażeby mu wręczyli na piśmie dwadzieścia długich, lub czterdzieści krótkich listów w rozmaitych językach, a mianowicie w niemieckim, łacińskim, francuskim, włoskim, polskim, czeskim, węgierskim, słowiańskim, i rossyjskim. W dwa dni zaś po otrzymaniu tych listów dyktował je dosłownie jednocześnie dwudziestu lub czterdziestu osobom, zostawiając im wolny wybór od którego listu ma zacząć. W roku 1840 pojawił się naraz niejaki Hirsch Danemark, z przydomkiem „Eisenkopf," żyd z Warszawy, i w owym roku a również i w następnych podróżując po całej Europie, pamięciowemi dziwami wprowadzał wszystkich w osłupienie. Hartenbach w dziele swojem „Sztuka zdobycia doskonałej pamięci" wyd. II z 1868 r. pisze: „Najbardziej godnym podziwienienia jest przykład niejakiego Tomasza Fullera, niewolnika, murzyna z Wirginji. Już po przejściu siedmdziesiątki miał on jeszcze osobliwą pamięć. Dwóch ludzi postawiło mu zapytanie: „Ile sekund mieści się w półtora roku?" — a w dwie minuty najdłużej otrzymali odpowiedź: 47,304,000. Następnie spytano, ile sekund przeżył człowiek, któryby umarł mając lat 70, dni 17 i 12 godzin? W cztery minuty zadziwiający murzyn odpowiedział: 2,210.500,000. Jeden z pytających sprawdził ten rachunek piórem i twierdził, że jest w nim błąd, ale pokazało się, że to on własnie się pomylił, jak mu bowiem Fuller wykazał, nie wliczył lat przestępnych." W innem miejscu opowiada Hartenbach: „W końcu przeszłego stulecia jeden ze znakomitych uczonych poznał w Neapolu człowieka, niezbyt wykształconego, który całą „Jerozolimę wyzwoloną „Tassa umiał na pamięć i to tak dokładnie, że nietylko z góry na dół, ale i z dołu do góry umiał ją powiedzieć, więcej, bo powtórzyć oddzielnie wszystkie wiersze z rymami żeńskiemi, a oddzielnie z męzkiemi, zaczynając od prawej lub od lewej strony, słowo za słowem." Kończąc, pozwolimy sobie tu przytoczyć, znaną zresztą dosyć anegdotę, w której dar pamięci wcale nie wielki pożytek przyniósł swemu posiadaczowi. Dwóch kandydatów teologji ubiegało się o wakującą parafję. Obadwa mieli w jednę i tąż samą niedzielę, ale jeden przed, a drugi po południu, mieć kazanie próbne. Zjechali się i stanęli w jedynej oberży w wiosce, i pomieścili się w dwóch izbach, oddzielonych wązkiem tylko przepierzeniem. Kaznodzieja przedpołudniowy napróżno męczył się nad ułożeniem dobrego kazania, gdy naraz usłyszał swego współzawodnika głośno wbijającego sobie w pamięć swoją już ułożoną homilję. Nastawił tedy ucha, a będąc obdarzony wyborną pamięcią, pochwycił całe kazanie swego kolegi i na gorąco jeszcze przed południem tegoż dnia je wypowiedział. Śmiertelna trwoga przejęła współzawodnika, gdy usłyszał słowo w słowo powtórzone swoje tak starannie ułożone i wyuczone kazanie. Cóż tu jednak było robić? Na ułożenie nowej mowy czas był za krótki. Przytomny teolog idzie do głowy po rozum i bez zwłoki wszedłszy na kazalnicę, tak zaczyna: „Nabożni parafianie! Słyszeliście dzisiaj z rana tak wyborne kazanie, że ja nie zdołam lepszego wam powiedzieć. Wolę tedy powtórzyć wam raz jeszcze słowa mego kolegi." I tu, rozumie się słowo w słowo, wypowiedział swój własny utwór. Wieśniacy osłupieli z podziwu nad takim rzekomym darem pamięci i zawoławszy: „To mi człowiek!" — wybrali go na pastora, czego następnie nigdy nie mieli powodu żałować. Prawdziwy zaś mnemonik żadnej korzyści nie odniósł ze swojej sztuki.

— Z pewnego miasteczka na prowincji donoszą o następnej komicznej przygodzie, która się złodziejom przytrafiła. „Kilku włóczęgów zauważyło niedawno przed wieczorem w oknie suteryny pyszny bukiet. Zamiar ściągnięcia go ułożony został natychmiast i odpowiednie manewry rozpoczęte. Pora i pogoda zdawały się jak najprzychylniejsze; szarzało już bowiem i mglisto było. Najbardziej tedy przedsiębiorczy z awanturników wślizguje się pod okno, zapuszcza zuchwale rękę za kratę i z całą energją upragniony przedmiot ku sobie pociąga. W tej chwili jednak daje się słyszeć w pokoju głośny krzyk i zuchwały rabuś puszcza z rąk pochwycony przedmiot, który był niczem innem,—tylko szynjonem pani, siedzącej tyłem do okna i spokojnie robiącej pończochę. Ma się rozumieć że złodzieje kwiatów po takiem doświadczeniu odrzekną się na całe życie swego rzemiosła!" Se non è vero è ben trovato!

— Pewien sędzia francuski słynął z roztargnienia. Opowiadają o nim następującą anegdotkę: Przewodniczył pewnego razu sądowi przysięgłych, który miał przesłuchać oskarżonego o złodziejstwo.—Jakto być mogło — zapytał sędzia obżałowanego, — żeś się dopuścił takiego występku?—„Mój Boże — odparł zapytany w ten sposób — rzecz prosta; wiadomo przecie panu prezydentowi, że wilk gdy głodny, wychodzi na łup". — Nie, i po tysiąc razy nie! — z wyrazem wielkiego zgorszenia zawołał sędzia — wilk, gdy głodny, pracuje i stara się zdobyć sobie chleb w pocie czoła.

— Jako charakterystyczny przyczynek do historji wojen, która jest niestety zarazem historją świata, przytoczymy tu straszliwe w swej naiwności opowiadanie jednego ze współuczestników walki Hiszpanów z Maurami, w 16 wieku. Walce tej dali początek Maurowie, którzy uległszy pozornie zwycięzkim Hiszpanom, i przeszedłszy rzekomo na katolicyzm, nagle zrzucili maskę i krwawy odwet nad Hiszpanami wziąć zapragnęli. Historyk hiszpański Marmel powiada z zimną krwią: „Srożej od naszych wojsk nie mogłaby grasować nawet szarańcza. Za sobą zostawiali pustynię, przed sobą nieśli mord i pożogę. W ciągu miesiąca 1000 Maurów legło lub popadło w niewolę. Całe wsie się wyludniły, przeszło 80 potyczek, a raczej rzezi szło za sobą w nieprzerwanej kolei; nikomu nie darowywano życia." Ale wróćmy do naszego opowiadacza, uczestnika tej wojny. Nazywał się on Perez de Hita i tak pisze w swoich pamiętnikach: „Hiszpanie myśleli tylko o mordach i rabunku. Byli to wszystko złodzieje i zbójcy „a ja jeden z najpierwszych pomiędzy nimi." Ażeby nie wyjść z wprawy kradli żelaziwo, owoce a nawet koty. Po wzięciu szturmem Jubilezu, wyrznęli nasi ludzie z zimną krwią 1000 maurytańskich kobiet i 600 dzieci, nie licząc całej męzkiej załogi. Trzeba jednak to przyznać przeklętym Maurom, że i oni bronili się z odwagą rozpaczy. Często się zdarzało, że utraciwszy już wszelką broń i środek ratunku, wystrzelawszy do dna swoje szelmowskie zatrute strzały, chwytali którego z naszych i rzucali się z nim w przepaść ze skały. Kobiety ich także i dzieci rozpaczliwie się broniły, bez trwogi rzucając się na nas i miotając nam piaskiem w oczy. Wiele Maurytanek spychało córki swoje w przepaści pokryte śniegiem, abyśmy ich w ręce nasze nie dostali." Że jednak Perez de Hita pomiędzy swymi dzikimi towarzyszami nie pozbył się całkiem uczucia ludzkości, dowodzi następujący, nieco dalszy ustęp: „Raz, na drodze do Filiz spostrzegłem kobietę, całą w ranach, leżącą i okrywającą swem ciałem maleńkie, przy piersiach jeszcze niemowlę, jakgdyby go chciała bronić. W tem nadeszli nasi ludzie i dobili matkę, tak że dziecię spłynęło w jej krwi. Widok ten do tego stopnia mnie przeniknął, że uratowałem życie temu maleństwu. Kiedyindziej znowu dwóch z naszych ludzi wdarło się do domu bogatego Maura, zrabowali wszystko, co się unieść dało, a resztę poniszczyli. Już mieli odchodzić, gdy nagle w jednej z kryjówek spostrzegli młodą, prześliczną dziewczynę. Ujrzeć ją i rozkochać się w niej na łeb na szyję było dla nich dziełem jednej chwili. Każdy chciał nią zawładnąć, żaden nie mógł znieść myśli, że do innego będzie należeć, dobyli więc oręża z pochew dla rozstrzygnięcia nim sporu. Już długo walczyli z rosnącą zaciekłością bez wyraźnej na którąbądź stronę przewagi, ponieważ równej byli siły i biegłości, gdy nagle wpadł trzeci żołdak do izby i widząc co się dzieje, postanowił w mig tej walce koniec położyć. Rzucił się tedy ku pięknej Maurytance i pchnąwszy ją dwakroć sztyletem trupem położył. Dokonawszy zaś tego wykrzyknął łotr radośnie: — No! zgoda koledzy, nie godzi się aby dzielne dwa zuchy brali się za czub o taką bagatelę! — Ale radość jego była przedwczesną. Wprawdzie dwaj walczący zawiesili bój, na to jednak tylko, aby wpaść na mordercę i we krwi jego pomścić tę zbrodnię. Po krótkiej obronie padł obok zamordowanego Anioła!" Opowiadanie to całą naszą sympatję pochyla ku stronie uciśnionych Maurów, że jednak i oni nie ustępowali w zaciekłości swoim wrogom, są na to w powyższych pamiętnikach dowody. W Gueccja naprzykład wpadłszy do klasztoru Augustjanów „smarzyli mnichów w oleju!" Gdzieindziej znowu, w Mayrena, gdy wojsko hiszpańskie opuściło to miasteczko, ludność maurytańska schwyciła miejscowego proboszcza, naładowała go prochem i podpaliwszy wysadziła w powietrze. Maurowie zaś z Canyagaru przewyższyli jeszcze powyższych w wymyślności swej pomsty. Porwali bowiem księdza i zawlekli go do kościoła, jednocześnie rozkazawszy zakrystjanowi w dzwon wielki uderzyć. Gdy zaś lud na to dzwonienie się zebrał, jęli ci zdziczali ludzie wyrywać proboszczowi włosy, nawet z brwi i rzęs i każdy z nich uderzał go z kolei pięścią. Poczem oberżnąwszy mu jeszcze wielkie palce u rąk i nóg, wyłupili oczy i wsadzili mu je w zęby, wołając: — Zjedz to, czem nas szpiegowałeś, donosicielu! - Co uczyniwszy wyrwali mu język i wreszcie wydarli serce z piersi jeszcze żywemu, aby je rzucić psom na pożarcie.

Odpowiedzi Redakcji.

Zwracamy uwagę, że numer dzisiejszy jest ostatni w bieżącym kwartale. Upraszamy przeto o rychłe odnowienie przedpłaty za czas od 1go Stycznia do końca Marca. 1876 r.

Treść Nr. 51 i 52.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).